

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje **Interesantów** w czwartki, płatki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Moltke. — Zjazd w Halli (12—17 października), p. K. R. Żywickiego. — Z Austrii, p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Trzeci rober, p. Cecylię Walewską. — *Życie społeczne:* Do Brazylii. — *Badania naukowe:* Wieczne lodowiska Grenlandy i najnowszy projekt podróży na jej wschodnie wybrzeża, p. W. N. — *Literatura i sztuka:* Literatura polska, p. Zygm. Plet. Literatura niemiecka, p. Stwosza. — Teatr, p. Zenona Pletkiewicza. — *Fejleton:* Libero veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — O prawdę, p. Uhma. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

M O L T K E.

Czy para miele mąkę lub wyrabia tkaniny, czy też rozrywa kocioł i zabija ludzi, zawsze jest ona potężną siłą. Podobnie rzecz się ma z geniuszem ludzkim: czy on stwarza, czy niszczy — w każdym razie moc swą okazuje. Nawet nie mając sympatyj dla wielkich wodzów, rozbijających państwa i narody w celach zaborczych, musimy mieć dla nich podziw. Na to uczucie zasłużył niewątpliwie generał Moltke, pogromca Austrii i Francji, sprawca olśniewających tryumfów oręza niemieckiego. Jest to postać niezwykła i dziwna. Żołnierz do szpiku zachował pod mundurem serce czułe, a pod pikelhaubą rozum głęboki. Jest to humanista — który umiał zasciełać pola bitew obficie trupami, filozof — który nie może wyobrazić sobie pochodu dziejów bez wojska. W przygotowaniu dwu świetnych kampanij przełamał dotychczasowy dogmat strategiki, wymagający od armii niewolniczych poruszeń maszyny według drobiazgowej i skoncentrowanej komendy; poprzestawał bowiem na skreśleniu ogólnego planu, pozostawiając dowódcom samodzielność wykonania. Wyniki dowiodły słuszności tej zasady znakomicie. Moltke rozgromił dwa potężne państwa.

Wdzięczni rodacy podzielili między niego i Bismarka chwałę tych wypraw. Nie będziemy tu odważali, ile każdemu z nich się należy; zauważymy tylko, że nigdy dotąd los nie postawił obok siebie i nie związał wspólną pracą dwu ludzi tak różnych, tak wyłączających się wzajemnie właściwościami swych charakterów. Bismark dyplomata nie rozstawał się nigdy z mundurem wojskowym; Moltke generał był zamysłonym o uszczęśliwieniu ludzkości filozofem. Bismark pragnął władzą swoją przeniknąć do najdrobniejszego urzędu; Moltke usiłował w najniższym oficerze wy-

wołać samodzielność. Bismark chciał ciągle z całym światem wojować; Moltke po rozegraniu walnych bitew żyć z wszystkimi w pokoju. Bismarka nienawidziły miliony ludzi; Moltkego nikt. Bismark łaknął zaszczytów i hołdów; Moltke ich unikał aż do dziwactwa. Bismark nietylko przyjął od cesarza po wojnie francuskiej dobra i pieniądze, ale nawet ze składki narodowej kazał sobie wypłacić 1½ miliona marek; Moltke mu nie ośmielono by się nie ofiarować. Bismark wywraçał i nicował etykę na wszystkie strony; Moltke był ciągle — według Laskera — „czystym jak dziecko.“ Bismark, występując w sejmie, uważał posłów za nieprzyjaciół, których chciał pokonać; Moltke traktował ich jak przyjaciół, których chciał przekonać. Bismark zawsze mówił długo, gorączkowo i osobiście; Moltke — krótko, spokojnie i przedmiotowo. Bismark musiał być siłą wyparty ze swego stanowiska, gdy się przestarzał; Moltke sam się usunął, gdy spostrzegł, że „nie może jeździć konno.“ Bismark, ustąpiwszy, rozpoczął buntowniczą walkę z monarchą i rządem; Moltke stanął na uboczu skromny i dobrą wolą przejęty.

Skromność tego człowieka jest bajeczną. Wszelkie hołdy — jak sam wyznał — sprawiają mu instynktową odrazę. Biuro sejmowi niemieckiego wydaje książkę, zawierającą życiorysy posłów, pisane przez nich samych. Autobiografie te są dość obszerne, a nieraz tak szczegółowe, że autorowie wprowadzają do nich nawet swe połowice. Najkrótszą jest notatka Moltkego, a brzmi ona tak:

„Hr. v. Moltke Helmuth, feldmarszałek, Berlin, Königsplatz 7. Okrąg wyborczy Królewiec I (Memel-Heydekrug). Partya konserwatywna. Ur. 26 października 1800 r. w Parchimie, Meklemburg; ewangelik. Korpus kadetów, Akademia wojskowa. Zawód żołnierski. Wyprawy 1864, 1866, 1870—71.“

Ani słowa więcej.

O ile mógł, wymykał się zawsze z Berlina na dnię pamiątkowe, ażeby uniknąć powinszowań i owacyj. Tem łatwiej mógł dogadzać swemu upodobaniu, gdy opuściwszy

naczelnictwo sztabu głównego, rozpoczął życie na pół prywatne w dobrach swoich na Szląsku. Cesarz wszakże bądź dla uczczenia ważnej chwili, bądź dla przeciwstawienia bohatera skromnego bohaterowi rozdętemu pychą, sprowadził Moltkego do Berlina i zmusił go do przyjęcia hołdów w dniu 90-ej rocznicy jego urodzin. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi uczestniczyło w pochodzie uroczystym, który przeciągnął w malowniczych grupach przed mieszkaniem rozrzuconego, ale ciągle spokojnego starca, przypomniano jego zasługi w pieśniach i mowach, zniesiono mu z pokłonem wszystkie sztandary wojskowe. Niezmiennie i odzwierciedlające charakter były wszystkie jego odpowiedzi. Tak np. wysłuchawszy przemowy prezesa komitetu uroczystości, odrzekł:

„Uspokojenie obywatelstwa, które użyczyło panu słów tak wymownych, przejmuję mnie dumą i radością. Potężny wzrost Berlina datuje się od chwili odbudowania cesarstwa niemieckiego, które jest wielkiem dziełem naszego wielkiego cesarza Wilhelma. Jeżeli i mnie przypisujecie łaskawie udział w tych tryumfach, to nie mogę zapomnieć o dzielnych żołnierzach, którzy wierność dla ojczyzny stwierdzili swoją śmiercią. Chciałbym wszystkim współobywatelom serdecznie podziękować za świetny objaw ich życzliwości.“

Na poetyczne pozdrowienie Germanii (panny Wagener) odpowiedział:

„Germania, którą pani tak pięknie wyobrażasz, może być dumną ze swojej stolicy, w której jedna myśl patriotyczna wystarcza do zgromadzenia obywateli. Przyjmuje ten hołd dla Germanii, dla narodu niemieckiego.“

Zawsze siebie stawia na ostatnim planie. Ale ta szczerza skromność jeszcze bardziej ujmuje wszystkich dla człowieka, który ma prawo do wielkiej wyniosłości. To też cesarz, wręczając mu nową buławę, odezwał się do niego ze szczególną czcią i uznaniem. „Zaszczyty, którymi obdarzył cię mój dziad, nie pozostawiły mi nic do ofiarowania, prócz

wdzięczności. Przyjmij ten jedyny hołd, jaki w moich młodych latach złożyć ci mogę. Zrzekam się z dumą na dzień dzisiejszy przywileju monarszego, który mi pozwala sztandary armii przy sobie trzymać; niech u ciebie pozostaną przez dziś te poszarpane chorągwie, które na polach bitew powiewały nad twoją głową."

Wszyscy dostojnicy państwa byli świadkami tego hołdu, prócz — Bismarka. Obu tych ludzi historia osądzi, ale już dziś można być pewnym, że wielkość charakteru przyzna tylko Moltkemu.

ZJAZD W HALLI

(12—17 października).

Zjazd w Halli, który chwilowo przykuł do siebie uwagę powszechną, należy już do przeszłości. W naszej prasie pozostawił on dotychczas po sobie wiele — fałszów. Mniejsza jednak o to. Zostawiając w spokoju zarówno naszych swojskich fałszerzów z wiadomości, jak i celowych podrabiaczów, zajmijmy się zupełnie przedmiotem zdaniem sprawy z przebiegu i obrad kongresu. Zauważmy naprzód, że rozrost ruchu, jeśli zawierzmy sprawozdaniom urzędowym partii, omylił wszelkie oczekiwania. Można było przypuszczać, że demokracja społeczna jest silną, ale rzeczywistość przewyższyła przypuszczenia. Mówiąc to, mamy głównie na widoku rozmiary prasy partyjnej w ostatnich miesiącach prawa wyjątkowego. Otóż we wrześniu istniało 104 czasopism tej barwy z 600,000 prenumeratorów! W tej liczbie było 19 gazet codziennych, posiadających razem około 120 tysięcy abonentów; prasa zawodowa liczy 41 pism, z pośród których np. organ związku górniczego rozchodził się w 27,000 egzemplarzy, a wszystkie one łącznie mają 201 tys. przedpłatników. Dwa pisma humorystyczne drukują się w 107 tys.!. Do kasy partyjnej z obowiązkowych składek od członków wpływało w ostatnich czasach około 380 tysięcy marek rocznie. Lecz kiedy w szczegółowym oświetleniu sprawozdań zjazdu rozmiary ruchu uległy spotęgowaniu, natomiast znaczenie opozycji zmalało niepomrotnie. Dzisiaj śmiało można powiedzieć, że spór nader małoważny i nadewszystko mocno osobisty, wskutek

chwilowego rozdrażnienia, a jeszcze więcej dzięki plotkarstwu usługowych organów mieszczańskich, rozdmuchano do niebywałej wielkości. Naprzód na zjeździe, o ile zabierała ona głos (mianowicie przedstawiciele Hamburga), nie wyglądała wcale na opozycję zasadniczą, ale tylko na grupę, żądającą niektórych wyjaśnień w tej lub innej sprawie. Sam Schippel był jednym z sekretarzy zjazdu. Nawet jednemu, wyraźnie jednemu, gwałtowniejszemu i zasadniczemu opozycjonście, Wernerowi z Berlina, dano zupełną swobodę słowa. Chodziło głównie o zachowanie się frakcji parlamentarnej wobec 1 maja, a powtóre o przeniewierzenie się uchwał S. Galleńskiej (1887) i polecenie wbrew jej brzmieniu, aby przy powtórnych wyborach oddawano głosy postępowcom lub członkom stronnictwa ludowego. Zwłaszcza co do 1 maja wyszły na jaw ciekawe fakty. W Chemnitz np., jednym z najradykałniejszych okręgów, poddawano sprawę świętowania majowego pod uznanie „towarzyszów“, i przypało ono tutaj 2/3 ogółu głosów! Zaniedbanie więc bezrobocia było dla partii koniecznością, zwłaszcza w oddalonych, a drobnych ogniskach przemysłowych. Sprawa wyborów wygląda jeszcze bardziej błaho. Ale do tych różnic przyłączyły się urazy osobiste i zaogniły niezgodę. Bardziej zasadniczym jest stanowisko Wenera i kilku innych przeciw parlamentaryzmowi. W jego rozumieniu należy wychowywać i kształcić masy, lecz tego niepodobna osiągnąć wykazywaniem zalet prawodawstwa fabrycznego lub występowaniem przeciw cłom, na tej zasadzie że podnoszą one cenę towaru. Raczej należałoby w parlamencie wskazywać, że źródło złego spoczywa w gospodarce prywatnej, a politykę celną, odrzucać, ponieważ wolny handel sprzyja bardziej pęknięciu wrzodu kapitalistycznego. Zdaje się, że jest to najważniejszy teoretyczny punkt opozycji, którą Engels nazwał żartobliwie *Studenten und Literatenrevolte*. Lecz jeśli takie stanowisko jest dobre, kiedy powstają pierwsze kadry partyjne, a związane warunkami politycznymi ręce muszą spoczywać bezczynnie (dawne poglądy Marxa na wolny handel), staje się ono niekiedy zbyt niebezpiecznym, gdy partya wzrośnie w siłę i może postawić, a co więcej przeprowadzić pewne żądania praktyczne. Słowem, „spokojny“ i „gwałtowny“ odłamy demokracji społecznej wyrosły się nie umiarkowaniem lub radykalizmem teoretycznych i nawet praktycznych planów i celów, ale tylko różnicami taktyki i temperamentu. Być

może tkwi pod tem wszystkim — jak zauważył w polemice swojej Engels — antagonizm między lewym skrzydłem partii, najmiększym, a prawem drobnomieszczańskim, ale sam rozwój kapitalistyczny, zmieniając drobnomieszczań w najmitów, wyrówna różnice, i rokowanie, pamiętając o tem, nie powinni dezorganizować partii. Takim też było stanowisko opozycji hamburskiej.

W zasadniczych poglądach oba odłamy są zgodne, i demokracja społeczna jest wciąż jedną i niepodzielną, co więcej, jak wyraził się jeden z najwybitniejszych przywódców, w ciągu lat 12 prawa kagańcowego nie zapomniła ona nic a nic z swoich dawnych idei, chociaż nauczyła się wiele, jak należy działać i postępować. A zatem po dawnemu stoi na stanowisku międzynarodowym, w imię którego protestowała przeciw zaborom alzackim i szlęzickim. O tem przekonać mogły już hasła i daty historyczne, wypisane na ścianie. Liebknecht zagaja zjazd okrzykiem na cześć międzynarodowej łączności, później zaś podaje wniosek treści następującej: „Dzień 1 maja ma być raz na zawsze uważany za święto ogólnonajmickie i, zgodnie z uchwałą międzynarodowego zjazdu paryskiego, obchodzony uroczystość w sposób, na jaki pozwalają stosunki krajowe. Jeżeli świętowaniu stoją na przeszkodzie jakies ważne względy, to uroczystości, obchody itd. winny odbyć się w pierwszą niedzielę majową.“ Domela-Nieuwenhuis z Holandii mówi, że niema na zjeździe ani belgów i holendrów, ani też Niemców, lecz są tylko demokraci społeczni i że powinni oni być międzynarodowcami, albo przestaną być demokratami społecznymi. Guesde z Paryża rozwija w mowie swojej szerokie widnokręgi braterstwa, nazywając swoją ojczyznę świat cały, a celem — ludzkość. Podobnie działało się i z innymi kwestyami. Widocznie, jakby przeczuwając, że tu i owdzie drobnomieszczańscy ideologowie mogą podsyć się ze swoją obórką chłopską pod cudzą nazwą, wniesiono projekt, aby partya nazywała się nadal demokracją społeczną robotniczą, gdyż „tylko od najmitów oczekujemy urzeczywistnienia naszych idei.“ (Liebknecht). Kiedy podczas rozpraw o rozszerzaniu działalności na najmitów wiejskich i o założeniu dla nich pisma, potrącono o to, że dotychczas niema społeczno-demokratycznych chłopów i że w dalszej przyszłości należałoby też wśród nich rozpocząć działalność, zawyrokowano, że nawet w tym razie nie wolno zrzekać się hasła kolektywizmu i co zatem idzie, uka-

TRZECI ROBER.

„Julek, skończywszy politechnikę, zaczął starać się o otrzymanie najskromniejszego choćby zajęcia. Kilka dni z rzędu chodził do dyrektora jednej z większych fabryk, Straszewskiego, z listem polecającym od wuja, u którego raz do roku, w dzień św. Antoniego, dyrektor bywał na partyjce wina; zawsze jednak od służącego, który mu otwierał drzwi, słyszał: „pana niema w domu“, „pan śpi“, albo „pan nie przyjmuje...“

Raz wreszcie pan zaczął prosić.

Julek z bijącym sercem wszedł do ciemnego, kotarami i lambrekinami zawieszono gabinetu.

Straszewski, spojrzawszy w stronę drzwi, kiwnął głową niedbale. Końcami palców ujął podany przez młodego człowieka bilecik i przejrzał go zaledwie do połowy, rzucając wzrokiem na podpis.

Odwrócony twarzą do okna, tak, że siedzący w cieniu za biurkiem Julek tylko profil jego mógł widzieć, bąknął przez zęby:

— Bardzo mi przykro, że muszę odmówić pańskiemu wujaszkiwu; chciałbym spełnić jego życzenie, ale nawet dla niego posady nie stworzę. Takich listów, jak ten — tu stuknął palcami po rozłożonym arkusiku papieru, który trzymał w ręce — odbieram po dziesięć dziennie.

Zadzwoił na lokaja.

— Jest tam jeszcze kto więcej do mnie? — zapytał.

— Niema nikogo — brzmiała odpowiedź. Julek wstał, skłonił się niezręcznie, uczuł bowiem nagły zawrót głowy, i wyszedł.

Straszewski, zajęty świeżym gatunkiem cygara, jakie właśnie zapalał, spojrzął za odchodzącym i kiwnął mu głową dopiero wtedy, gdy ten już był przy drzwiach.

Nazajutrz po południu wuj Julka, pan Antoni, ubrawszy się w świąteczny tużurek, sam podążył do ex-kolegi szkolnego.

Lokaj, otwierając drzwi, już miał na ustach słowa: „pan nie przyjmuje“ — gdy Straszewski usłyszawszy głos pana Antoniego, sam wyszedł do niego.

— Jak się masz Antosiu? — zawołał, witając towarzysza szkolnej ławy i prowadząc go do gabinetu. Dawnośmy się już nie widzieli! Usiądź, proszę.

Wskazał gościowi miejsce na perskiej otomanie w głębi pokoju. Usiadłszy obok

niego, ziewnął parę razy, przed kilkoma minutami bowiem rozbudził się ze zwykłej poobiedniej drzemki; w końcu rzekł:

— Tak rzadko przypominasz sobie o mnie, że chyba gwałtowny interes sprowadza cię w moje progi?

— Nie mylisz się — odparł pan Antoni. Wczoraj był tu u ciebie — u kolegi — dodał, poprawiając się — mój siostrzeniec. Przyśłałem go, aby się sam sprezentował: zdolny, dobry i pracowity chłopak. Chciałbym za waszym pośrednictwem wyrobić mu jakiegokolwiek zajęcie: bardzo potrzebuje pracy i tego, co ona za sobą przynosi... Gdybyście tylko mieli dobrą wolę...

Straszewski przy pierwszych słowach pana Antoniego zerwał się z krzesła i biegnąc po pokoju z rękami w tył założonemi, słuchał czas jakiś; ostatnie jednak zdanie przerwał koledze, odzywając się krótko, ze zniecierpliwieniem w głosie:

— Mój kochany, służysz sam; wiesz przecież, że posady nie wyrastają, jak grzyby po deszczu. Żadasz ode mnie niemożliwości. Tyłu ludzi męczy mnie codziennie o protekcję! Nie czytam nawet próśb, które składają na moje ręce. Głowa by pękła, gdyby człowiek chciał się przejmować wszystkim. Brat poleca brata, ojciec syna, wujaszek siostrzeńca: zlitujcież się! Toć nie mam kantoru stręczenia robót!..

zywać mamiłła drobnej osady *). Co więcej zerwano stanowczo z ostatnimi tradycjami lasalczyków, wyrzucając z programu wymagania od państwa pomocy finansowej dla stowarzyszeń wytwórczych, ponieważ one są w dzisiejszym rozwoju ekonomicznym wprost niemożliwe, a samo żądanie zdradza wiarę, że państwo stoi po nad walką klasową. Zresztą dużo mówiono o programie, który, zreformowany odpowiednio, poddany zostanie na przyszłym zjeździe do zatwierdzenia.

Warto zaznaczyć wypowiedziane przy tem poglądy. „Naprawdę poszukiwalibyśmy doskonałego programu; niema go bowiem. Nauka wciąż rozwija się. Równie niema skończonego całokształtu wymagań. Narazilibyśmy się na śmieszność, gdybyśmy uwierzyli w taką ostateczność i skończoność rozwoju. Stwórzmy program, który stałby na wysokości wiedzy i jeśli ta ostatnia uczyni krok dalej, zmieńmy go. Wszak jesteśmy wiecznymi malkontentami. Zastój jest dla nas śmiercią. Jeśli opuścimy grunt wciąż postępującej wiedzy, jesteśmy straceni, tymczasem oparci o wiedzę będziemy niezwykcy i zgnieciemy wrogów. Spotkaliśmy zarzut, że w sprawozdaniu programowem nie zrobiono najmniejszej wzmianki o przyszłym ustroju. Póki partya była młodą i stała na gruncie nauki, lecz miała się do dzisiejszego ruchu, jak alchemia do chemii, zajmowała się gorliwie tem pytaniem, i kwestyą, kto będzie w przyszłości czyścił buty i zamiatał ulice, nastroczała mnóstwo trudności. Dzisiaj wykpiłoby takie rozprawy. Rzeczywistość przewyższa najśmielsze żądania. Czy osoby domagające się odmalowania przyszłości, mogą przedstawić w swoim umyśle chociażby obraz teraźniejszości społecznej? A jak ta ostatnia będzie wyglądała za lat 10? Niech one odpowiedzą przede wszystkim na to! I jakim prawem żądają od nas, abyśmy skreślali, jak wyglądać będzie ustrój, wśród długiego rozwoju wykluwający się zwolna! Społeczeństwo tegocześnie przekształca się zwolna na społeczno-demokratyczne i z tego powodu niepodobna przeprowadzić ścisłej granicy pomiędzy niemi. Nowy program winien oddychać całym duchem party, która, wie, że powstała nie z przypadku, ale z konieczności procesu rozwojowego. Lecz nam nie wolno pozostać jedynie prostymi

*) „Bei der bevorstehenden Landagitation werden wir nicht davon zurückscheuen, mit dieser Forderung (kollektywnej gospodarki rolnej) aufzutreten“ — energicznie wyraził się Liebknecht.

Pan Antoni chrząknął, przygotowując się do dłuższej mówki. Straszewski, spojrzawszy na niego, przeczuł to. Usiadł przy nim, położył rękę na jego ramieniu i spokojniej, aniżeli przedtem, dorzucił:

— Daremną twoją fatygą: nie sil się na frazesy. Powtarzam raz jeszcze: posad nie stwarzam. Twój siostrzeniec może czas jakiś obznajmiać się z robotami w fabryce, to mu ułatwie. Na płatne zajęcie jednak niech czeka. Postaram się pamiętać o nim, dużo jednak nie obiecuje...

Drugi rok mijał. Julek, zrazu pełen dobrych nadziei, pod koniec zaczął się niecierpliwić, figurując na urzędowej liście fabrycznej zawsze tylko jako kandydat do posady.

Kilkakrotnie pan Antoni kołatał do kolegi dyrektora; ten jednakże odpowiadał za każdym razem:

— Niech czeka, niech czeka!..

Zbliżało się lato, a z niem — i uroczystość imienin pana Antoniego, w którym to dniu — od czasu skończenia szkół — kilku kolegów, niegdyś najbliższych z sobą żyjących, a pozostałych w mieście, zbierało się u solenizanta na tradycyjną partyjkę preferansa lub winta.

Straszewski, spotkawszy pana Antoniego na parę tygodni przed trzynastym czerwca, przypominał:

widzami tego, jak on gotuje na swoim ogniu zupełną społeczno-demokratyczną. Nie, człowiek musi działać, ale nie dorywczo i samowolnie, lecz czynnie i świadomie. Na tem polega nasze materialistyczne pojmowanie dziejów! — Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad teoretycznymi poglądami, ponieważ one są kluczem do zrozumienia społeczno-demokratycznej partyi. Między innemi rozprawiano o rozszerzeniu programu odnośnie kwestyi kobiecej. Zauważyliśmy, że po zawiadnięciu umysłami męskiej części najmictwa miejskiego demokracja społeczna zabiera się teraz z kolei do żeńskiej połowy. Podniesiono potrzebę, aby program zawierał żądanie praw politycznych, w tej liczbie powszechnego głosowania dla kobiet, a nadto nie ścieśniania pracy pozadomowej. Żądano też prawodawczego zrównania zarobków obu płci w tym samym fachu, chociaż przeciwko temu ukazał się charakterystyczny, a przeciwny wniosek od piątego berlińskiego okręgu wyborczego, że to uniemożliwi kobietom zarobkowanie i zagrzebie je w gospodarstwie domowem. Wiele też rozpraw wywołała kwestya religijna. Szło o to, jak partya ma zachowywać się względem wyznania swoich członków i czy powinna wymagać od nich występowania z odpowiednich kościołów. Większość zabierających głos oświadczyła, że demokracja społeczna stoi na gruncie wolnomysłnym i wierzy, że nauka usunie pierwotną metafizykę, lecz jednocześnie stanowczo sądzi, że z partyi nie należy czynić laboratorium dla wyrabiania wolnomyslicieli. Można to zostawić klerowi, który nieomieszka odciągać wierzącego społeczno-demokratę i swojemi usiłowaniami odstrychnie go tylko ostatecznie od siebie, oraz nauce, która rozjaśni ludziom w głowie. Natomiast należy nie dopuścić, aby wyznanie stało się orężem panowania klasowego; tego można dopiąć tylko przez oddzielenie kościoła od państwa i wyzwolenie szkoły z pod odpowiedzialnych wpływów. Słowem, religia winna stać się sprawą prywatną obywateli, podobnie jak utrzymywanie kultu.

Są to ważniejsze kwestye ogólne, rozpatrywane na zjeździe. Wybrana komisya ma według tych zasad rozszerzyć i uzupełnić program i przedstawić go przyszłorocznemu zjazdowi. Mówiono też o rozszerzeniu programu w zakresie zadań pozytywno-ekonomicznych. Postanowiono mianowicie za pośrednictwem grupy parlamentarnej domagać się reform, polepszających byt warstwy najmickiej w dzisiejszem społeczeństwie i wzmacniających jej zdrowie

i umysł. Zbyteczna nadmieniam, że owe żądania będą głównie tylko podkupywaniem pozytywnej polityki społecznej rządu. Tak np. wobec zamiarów prawodawstwa fabrycznego postanowiono wymagać między innemi dodania punktów, aby pracodawca, który w jakikolwiek sposób będzie występował przeciw stowarzyszeniu i związkowi najmickim, ulegał karze sądowej, a w przeciwstawieniu do emerytur państwowych itd. zaprojektowano następujące żądanie: „Na państwie spoczywa obowiązek zapewnienia wszystkim, będącym bez zarobku, utrzymania, które odpowiadałoby wymaganiom dzisiejszej kultury, lecz ta pomoc nie może pociągać za sobą jakiegś utraty praw politycznych.“ Domagano się upaństwowienia pomocy lekarskiej i adwokackiej oraz aptek; ustosunkowanego przedstawicielstwa, zupełnej swobody koalicji itd.

Następnie dużo czasu poświęcono załatwieniu spraw organizacyjnych — partyjnych i najważniejszym zagadnieniom praktycznym dnia jutrzejszego. Przedewszystkiem uznano konieczność bezroboci i „bojkotowania“, jako środków samoobrony najmickiej, lecz aby one były skuteczne, zalecono organizowanie związków ogólnokrajowych zawodowych i odpowiedniej prasy, tem bardziej, że tego rodzaju koła są jeszcze najlepszą szkołą agitacyjną nawet dla natur najbardziej filisterskich. Zresztą wkrótce ma odbyć się zjazd związków zawodowych, na którym odnośnie sprawy będą drobiazgowiej poruszone. Następnie wyznaczono te istniejące w społeczeństwie grupy, do zjednania których demokracja społeczna powinna przystąpić. Z jednej strony jest to robotnica miejska, z drugiej — najmita wiejski (podajemy nazwę w oryginalu: *Landarbeiter*). Postanowiono utworzyć dla nich specjalne organy. Zwłaszcza podniesiono kwestyę robotników wiejskich, przytem zawadzono mimochodem i o chłopów, jako o grupę, na którą wartoby kiedyś z czasem oddziaływać. Zaznaczono trudności wpływania na żywioły wiejskie i konieczność ogłoszenia dla najmitów rolnych jakichś odpowiednich hasel praktycznych, przyczem jasno oświadczone się przeciw ideałom drobnomieszczańskim. Na dzisiaj znaleziono dwie takie sprawy, bardzo różne od własnego zagonu i własnej obórki. Naprzód istnieje w Niemczech tak zwana ustawa czeladnia (*Gesindeordnung*), która dotyczy mężczyzn i kobiet, dzieci i dorosłych, pracujących w gospodarstwach rolnych, leśnych, rybactwie, flisactwie ogrodnictwie, przewozie, wreszcie obowiązujące

— A nasz wint? Zbierzemy się, zbierzemy! Pietraszewski i Badyński wyjechali wprawdzie, ale Hartman i Biedrzycki będą na pewno. Punkt ósma. Do widzenia!

Nadszedł trzynasty. Straszewski i Biedrzycki stawili się rzeczywiście o punkt ósmej. W kwadrans przyszedł list od Hartmana, w którym ten doniósł, iż skutkiem nagłej choroby żony przybyć nie może.

Straszewski, poprawiając okulary, mówił: „to źle, to szkoda.“ Biedrzycki kiwał głową na znak zupełnej aprobaty słów kolegi. Pan Antoni stał nad rozłożonym stolikiem, wpatrzony w zielone sukno i w świeżuteńkie talie kart, przygotowane do gry.

— Co tu począć? — pytał sam siebie; tak zabić cały długi wieczór we trzech tylko, z kolegami, z którymi widywał się zaledwie parę razy do roku, z których każdy miał odrębne stosunki i odrębne interesy, których dziś łączyła tylko nie wspomnień, sztucznie nawiązana na nowo. O czem mówić? Co robić?

Podczas gdy gospodarz domu rozmyślał, a Straszewski i Biedrzycki ze zniecierpliwieniem oczekiwali jakiegoś postanowienia z jego strony, cichutko, nieznacznie wsunęła się do gabinetu żona pana Antoniego, pani Felicya.

Powitawszy gości, rzekła do męża:

— Julek przyszedł; może on mógłby zagrać z panami?

— A któż to taki ten Julek? — zagadnął Straszewski.

— Nasz siostrzeniec — odpowiedziała pani Felicya. Ten, za którym mąż mój tyle razy prosił pana dyrektora...

— Nie bardzo go sobie przypominam — odparł Straszewski.

— A dlaczegożby on nie miał zagrać z nami? — dorzucił następnie.

— Naturalnie, dlaczegożby nie miał zagrać? — powtórzył za nim Biedrzycki.

— No, to niech przyjdzie — rzekł pan Antoni, zwracając się do żony.

Julek wszedł, wprowadzony ostentacyjnie przez ciotkę.

Od pierwszego zaraz wejrzenia wydał się dyrektorowi bardzo sympatycznym, miłym i dobrze wychowanym młodym człowiekiem.

Podał mu rękę uprzejmie.

— No, że ja go sobie też przypomnieć nie mogłem! — rzekł, zwracając się do pana Antoniego.

Rozebrano karty. Partnerzy zajęli miejsca. Pierwszą grę miał Straszewski z panem Antonim, a Julek z Biedrzyckim.

Julkowi sprzyjało szczęście. Pierwszego robra wygrał ze stu, drugiego — zasiadłszy na zmianę z wujaszkiem — ze stu pięćdziesięciu...

też służbę domową. Grupy te podlegają mianowicie poszczególnym przepisom różnym w każdym kraju, a pozwalającym niekiedy na chłostę i na wtrącanie się władz policyjnych. Postanowiono więc żądać zniesienia tych ustaw i zaprowadzenie innej, ogólnopanstwowej, któraby równoprawnie dla celadż z innymi grupami najmiększymi. W dalszym ciągu przyjęto żądanie zniesienia wypłaty zarobków wiejskich w naturze, jak to trzymają się różne folwarki i gospodarstwa, a zaprowadzenia pieniężnej. Wreszcie zgodzono się oddziaływać na wzrost ruchu w Poznańskim i Lotaryngii za pomocą odpowiednich środków (pism w językach miejscowych).

Zjazd liczył 400 zgórą delegatów. W tej liczbie kilka kobiet od najmitek i paru przedstawicieli parobków wiejskich. Nadto przybyło wielu delegatów z zagranicy. Jak widzimy, po za kwestyami organizacyjno-partijnymi wszystko obracało się nie tyle dokoła „pozytywnych” żądań ekonomicznych, lecz wymagań natury politycznej, organizowania tłumów najmiększych i pobudzania świadomości klasowej za pomocą odpowiednich haseł.

K. R. Żywicki.

Z A U S T R Y I.

Pogłoska o dymisyl hr. Taaffeego. — Cyncynat polski. — Polityka a giełda.

W chwili, w której zebrał się sejm czeski, aby pogrzebać ugodę, gruchnęła wieść, że hr. Taaffe podać się ma do dymisji; a nabrała ona pewnego prawdopodobieństwa dla kół szerszych, kiedy *Pester Lloyd*, półurzędowy organ węgierski, powtórzył ją, zajmując się nawet kwestyą, kto objąć ma spadek. Oto rozumowanie gazety węgierskiej: stosownie do dualistycznego ustroju państwa, w Przedlitawii jedna narodowość musi rządzić; niechaj będzie nią niemiecka. Czując zaś, że przejście rządu w ręce Niemców byłoby na razie zbyt rażące, proponuje utworzenie okresu przejściowego i powołanie prezydenta ministrów z rzędu posłów polskich. Dajcie nam polskiego Cyncynata! — woła organ urzędowy z patosem komicznie działającym na każdego, co choćby raz zajrzał po za kulisy austriacko-węgierskiej polityki.

Artykuł *Pester Lloyd*a, który powinien był sprawić wrażenie, a Polaków wprawić w miły niepokój i przychylnie usposobić

dla propozycji węgrów, minął bez skutku, a przez prasę galicyjską zgodnie odpartym został. Zapoznaje on bowiem stosunki faktyczne i zamaskować pragnie operację zbyt przejrzystą.

Nie ulega wątpliwości, że ugoda czeska jest robotą spazoną i że hr. Taaffe, jako jej inicjator, jest skompromitowanym. Wiadomo niemiennie, że w państwach o bardziej rozwiniętym życiu konstytucyjnym kierownik gabinetu, podjąwszy się tak doniosłej akcji politycznej bez powodzenia, musiałby ustąpić. Lecz w Austrii dzieje się inaczej. Tu wszystko odbywa się „gemüthlicher.” Nad chybioną próbą przechodzi się do porządku dziennego, a minister zostaje ministrem. Ten brak surowości w sprawach wewnętrznych sprzecznym może jest z estetyką polityczną, jeśli wyrazu tego użyć wolno, lecz stanowczo dobroczynnie działa i umożliwia popychanie wozu trzeszczącego groźnie. Kto wie, jakby się dziś mieli Polacy i Czesi, gdyby hr. Taaffe zgodził się był na dymisję, którą tyle razy opozycja mu proponowała! Nie, słowianie przedlitawscy wiedzą, że hr. Taaffe to zawsze pół biedy; do przejścia steru w ręce słowiańskie, którym słusznie się należy, stosunki jeszcze nie dojrzały, rządy niemieckie zaś, to nowy szereg walk o zdobycze raz już poczynione. Do odegrania roli przejściowej zaś Polacy się nie zniżą. Na propozycję *Pester Lloyd*a odpowiedziała prasa galicyjska, że Polacy nie mają ambicji rządzenia w Austrii, byle im spokojnie rządzić pozwolono we własnym kraju.

Lecz cóż spowodowało dziennik półurzędowy, pozostający w najbliższych stosunkach z rządem węgierskim, a zatem wybornie poinformowany o zamiarach hr. Taaffeego, do tak obłudnego i wrogiego wystąpienia? Jest to robota mocarzów giełdowych, którym hr. Taaffe stoi na przeszkodzie, a bezpośrednim powodem do oburzenia tych sfer jest zachowanie się prezydenta ministrów i Dunajewskiego w sprawie regulacji waluty. Ministrowie austriacy pojmują tę sprawę z punktu widzenia interesów państwowych; kapitaliści zaś traktują ją jako interes, na którym zarobią grubo i na którym jaknajprędzej zarobić by chcieli. Podczas gdy Taaffe i Dunajewski postępują chłodno i rozsądnie, a przeprowadzenie jej zamierzają powierzyć *Länderbankowi*, kapitaliści wiedeńscy i peszteńscy chcieliby widzieć ją w rękach wiedeńskiej „Creditanstalt.” *Hinc illae lacrimae.* A trzeba wiedzieć, że w Budapeszcie obecnie zgnilizna rozszerza się bardziej może, niż w Wiedniu

przed wielkim przesileniem finansowem; patryotyzm pokrywa tam spekulację najbrudniejszą, a poczucie narodowe bynajmniej nie przeszkadza podawaniu ręki przeciwnikom politycznym, kiedy idzie o interes. Oddawna już widziano, jak się przygotowywa sojusze kapitalistów wiedeńskich z giełdżarzami peszteńskimi: *Neue freie Presse*, niegdyś wrogo wobec węgrów usposobiona, zachwalała cywilizatorskie ich znaczenie dla Słowian południowych, jęczących, jak wiadomo, w niewoli; *Pester Lloyd* zaś zaczął uznawać, że rządy w Przedlitawii należą się nie przeważającym liczebnie Słowianom, lecz Niemcom. „Cyncynat polski” — to ponęta rzucona Polakom, aby zapewnić sobie, jeżeli nie poparcie, to przynajmniej neutralność Koła polskiego wobec planu, który zmierza do obalenia hr. Taaffeego. Na szczęście Galicyjanie nauczyli się, że nie należy wierzyć w bezinteresowną przyjaźń polityczną i za serdeczną propozycję „bratanków” grzecznie podziękują.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zapiszmy pogłoskę, nie rękując za jej wiarygodność: rząd pruski zgodził się w zasadzie na wybranie arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim Polaka, ale „umiarkowanego”; papież zaś polecił kapitulę przedstawienie nowej listy kandydatów. Tymczasem biskup wrocławski Kopp — jak donosi *Gazeta warsz.* — wydał dwa okólniki. W jednym wywołuje z użycia wprowadzony przez samego siebie przekład niemieckiego katechizmu dycezyjnego, pod pozorem, że księża i rodzice używają go nie do wykładu religii, ale do nauki języka polskiego, a takie popieranie „interesów językowych” *nie jest zadaniem kościoła* i podaje go w podejrzenie wobec rządu. Dostrzegł książe biskup inne jeszcze nadużycie: niech tylko Niemiec umie jako tako rozmówić się po polsku, zaraz go duchowieństwo zalicza do kategorii tych, którzy nie mogliby już z korzyścią dla siebie słuchać wykładu w języku niemieckim. Przeciwno temu pogwałceniu praw niemiecczyny wydaje ks. Kopp stałe rozporządzenie, że dzieci dzielić trzeba na dwa oddziały: rozumiejące po niemiecku lub też nieumiejące jeszcze wyrażać się po polsku, wchodzą do niemieckiego, inne — do polskiego. Katechizacya niedzielna może być prowadzona po niemiecku albo po polsku z objaśnieniami w dru-

Straszewski był przegrany. Karta mu nie dopisywała, przytem z partnerami nie mógł dojść do porozumienia. Przy pierwszym robrze zaraz wpadł w zły humor: mruczał pod nosem, sykał przez zęby. Przy drugim wołał na Biedrzyckiego:

— Zastanów się, co robisz! Nie wiesz sam, czego się trzymasz! Grasz bez planu!..

Była chwila, w której o mało nie rzucił kart i nie wstał od stolika. Czerwony z wysiłku, żyły miał nabrzmiałe na czole i w skroniach. Szarpał się na krześle, stukając obcasem o podłogę, chrząkał i przerywał grę co minuta, mówiąc:

— Nie, stanowczo już dosyć. Dłużej nie wytrzymam! Jak można tak wychodzić!..

Miał na sobie zapisanych dwieście pięćdziesiąt punktów. Sapał ze zmęczenia po skończonym drugim robrze. Trzeciego wypadło mu grać z Julkiem.

Wstając na zmianę, kazał sobie podać wodę, bo w gardle mu zaschło: mówić wcale nie mógł. Wypiwszy wodę, prosił o otworzenie okna, gdyż bardzo mu było gorąco. Mundштuk papierosa, który trzymał w zębach, cały był pogryziony. Włosy na głowie, przed godziną jeszcze równo nad prawem uchem przedzielone, szczotką i fiksatuarem do poziomego położenia zmuszone, w tej chwili stały sztywnymi kępkami dokoła skroni. Twarz miał czerwono-siną.

Siatka żyłek na białkach oczów krwią mu nabiegła zlekka.

Przeszedłszy się parę razy po pokoju, rzekł do Julka:

— No, młody kolego, tylko graj ostrożnie! Z wujaszkiem i z Biedrzykiem sfikować było można! Nie dziś nie rozumieja! Mówią „pas,” kiedy powinni deklarować kolor!.. Dawno już, dawno takiej podłej gry nie miałem.

Julek skupił całą uwagę. Karta, która przy pierwszych dwóch robrach dopisywała mu względnie nieźle, teraz zaczęła iść wyjątkowo świetnie.

Twarz dyrektora rozjaśniała się z każdą sekundą. Oczy promieniały. Kąty ust rozbiegły się w uśmiechu zadowolenia.

— No, młodzieńcze — wołał — zakasowałeś starych! Grasz, jak anioł! Dawno już nie zdarzyło mi się mieć takiego dzielnego partnera.

Co chwila potem dodawał:

— Doskonale, świetnie, znakomicie!..

Biedrzycki z panem Antonim dogadywali sobie nawzajem.

— Antek, decydujesz się za prędko! — wołał Biedrzycki, niezadowolony z kombinacji kolegi.

— Uwagi swoje możesz zostawić na boku: kart nie zmienię — odparł pan Antoni.

Straszewski mitygował ich:

— Dalibyscie pokój — mówił — spręczacie się, jak dwa żaki!..

Rober był na ukończeniu. Rozdano karty po raz ostatni. Licytacya wykazała, że przeciwnicy mają swój silny kolor. Julek podbijał ich ciągle, podtrzymywany dzielnie przez dyrektora. Pan Antoni i Biedrzycki stanęli na pięciu kierach. Słowo „pas” dało się słyszeć. Julek, mając ostatni głos, zadeklarował wielkiego szlema w karo.

Gdy obliczono robra, Straszewski, pomimo dawniejszych niepowodzeń, był wygrany na czysto trzydzieści punktów.

Wstał, rozpromieniony, proponując na zakończenie „kozaczka.” Pani Felicya jednak, wszedłszy do gabinetu, postawiła veto, prosząc wszystkich na kolację.

Biedrzycki we drzwiach stołowego pokoju zwrócił się do pana Antoniego, mówiąc:

— Gdybyś był w przedostatniej grze wyszedł w kiery, zamiast w piki, byłibysmy o sześćdziesiąt punktów mniej przegrali!..

Pan Antoni zmarszczył brwi, nachmurzył czoło i odparł cierpko:

— Wielka szkoda, że mentorstwo zbyt późno przyszło ci na myśl. Mogłeś mi pokazać kartę we właściwym czasie!..

Spręczali się jeszcze o fałszywą licytacyę w grze, którą stracili, mogąc zrobić cztery trefle, gdy pani Felicya, podając gościom samą przekąskę, zawołała:

gim języku. Wszystko to wypełnia pierwszy okólnik; w drugim zajmuje się dostojnik pruski kazaniem dla Niemców i stawia zasadę, że gdzie czwarta choćby część parafian rozumie i mówi po niemiecku, tam już kazania muszą być w obu językach, a to samo stosuje się do spowiedzi i przygotowań przed spowiedzią (*perikope*). Gdzie jest mniej, niż czwarta część, tam nabożeństwa niemieckie peryodycznie odbywać się powinny.

Pomiędzy patriarchatem ekumenicznym w Armenii a Portą wybuchł ostry spór, skutkiem którego wszystkie kościoły zostały zamknięte, a nabożeństwa w nich przerwane. Sprawa ta jednakże wkrótce z wewnętrznej stała się zewnętrzną. Bo oto naprzód *Journal de St. Petersburg* wystąpił z przestrogą, napominającą sułtana, ażeby nie określał praw wyznania chrześcijańskiego sposobem mahometaniskim, lecz brał przykład z innych rządów europejskich; następnie poseł ruski w Konstantynopolu, Nelidow, przedstawił Porcie konieczność zakończenia waśni ustępstwami, gdyż z niej wyrosnąć mogą nieprzyjemne kłopoty. Dwa te naciski niewątpliwie wywrą swój skutek.

Książę Koburski otworzył sejm mową, w której pomieszczył znaczną chwałę dla Turcyi za mianowanie biskupów bułgarskich w Macedonii. Ponieważ zaś wspominał przytem o zwierzęcych prawach sułtana, więc pośrednio zaprzeczył przypisywanej mu myśli ogłoszenia niepodległości Bułgarii.

Ex-król Milan, pożegnawszy czule syna, regentów i ministrów, opuścił Serbię i wyjechał do Paryża, gdzie odpocznie po „pracy.“ Praca ta zaś była nie małą, a czułość przy rozstaniu usprawiedliwioną; nie tylko bowiem potwierdzono mu rozwód, ale włożono w kieszeń poważną sumę, jako dopłatę do pensyi dotychczasowej, która nie wystarczała na Paryż, a tem mniej na Monaco. Można Milanowi przebaczyć wiele kroków lekkomyślnych, ale to wysysanie i marnowanie środków biednego narodu jest oburzającym. Jeżeli chce płacić długi i hulac, niechże wreszcie poślubi bogatą amerykańkę, a nie obdziera biedaków, których całem niemal źródłem dochodu jest hodowla i sprzedawanie świń, zatrzymywanych na granicy przez jego austriackich przyjaciół.

Może już w tej chwili Crispi widział się z Caprivim w Medyolanie. Interesem, który ich przyciągnął, jest zdaje się sprawa unii celnej, która jest przedmiotem da-

wnych układów między Austrią a Niemcami, a do której chciałoby również włączyć trzeciego spółnika sojuszu politycznego — Włochy. Po spotkaniu z kanclerzem niemieckim Crispi ma wypowiedzieć „wielką mowę ekonomiczną.“ Treść jej będzie naturalnie zależeć od targu w rozmowie na cztery oczy.

Szwajcarya dalej burzy się dwoma poważnionymi żywiołami. Ten najspokojniejszy pod słońcem europejskim kraik musi dla tłumienia rozruchów „konsygnować wojska.“

Gladston otworzył usta i wylał z nich potok złorzeczeń na rząd obecny za gnębienie Irlandyi. Stary whig pod koniec życia coraz bardziej rozumie krzywdy ludzkie i coraz jaśniej rysuje się w życiu politycznem. Niedawno jeszcze z Biblią i Home'em w rękę bardzo przypominał czasy tych dwu ksiąg.

ŻYCIE SPOŁECZNE. DO BRAZYLII.

Przyczyny ruchu. Jeżeli p. Gloger utrzymuje, że „w grę pobudek do wychodźstwa nie wchodzi tu (około Tykocina) ani nędza, ani przełudnienie, ani brak zarobku, lecz poprostu gorączka złota, rozbudzona w ciemnych umysłach przez zgraję pokątnych agentów, działających tajemniczo a przebiegle,“ to po części tylko w inne wyrazy wkłada myśl, której przeczy. Bo ostatecznie czy przyczyny ruchu nazwiemy „gorączką złota,“ czy chęcią poprawy bytu ekonomicznego, fakt pozostanie jednaki. Dla zrozumienia zaś, zbadania i — jeżeli można — usunięcia zjawiska nie należy go osłaniać złudnymi pozorami, ale rozebrać je z nich i zajrzeć w rdzeń rzeczy. Wtedy zobaczymy niewątpliwie, że gruntem, na którym przyjęła się siejba niecných agentów, był niedostatek i chęć zmiany warunków pracy wraz z nadzieją osiągnięcia szczęścia. Korespondent *Gazety warszawskiej* z Mławskiego zapisuje spostrzeżenie pod tym względem ważne: „Z rozmów oraz informacji u władz miejscowych czerpanych doszedłem do przekonania, iż emigracya rozpoczęła się w maju i trwała do połowy czerwca, następnie osłabła i wzmogła się dopiero po żniwach, przybrawszy następnie groźne rozmiary po ukończeniu kopania kartofli, które w tym roku w gub. płockiej chybiły. Tu przedewszystkiem muszę zwró-

cić uwagę na tę okoliczność, iż proletaryat rolny w pow. mławskim, sierpeckim oraz praszyskim jest znaczny i że wyganianie Polaków przed kilku laty za czasów ks. Bismarka wpało napowrót w granice Królestwa Polskiego masę biedaków, którzy się utrzymywali w Prusach z pracy ręcznej w gospodarstwach rolnych.“ Gdy na dworcu kolei Petersburskiej zatrzymano gromadę włościan z Łomżyńskiego i odprowadzono do Ratusza, na wszelkie perswazyje i przedstawienia oczekującej ich nędzy odpowiadali: „Już większej nie będziemy mieli biedy, niż tu mamy; dajcie nam pracę, a pozostaniemy na miejscu.“

Zapewne ci i owi, porwani gwałtownym pędem stada, przyłączają się do niego, porzucając względny dobrobyt dla nadziei zdobycia złotego runa; ale to są właściwie tylko przypadkowe dopływy emigracyi.

Agenci i naganiacze. Już dziś, po wytropieniu lub schwyтaniu niektórych łotrów, można mieć pojęcie o organizacji i działaniach tej nikczemnej bandy. Głównym jej kierownikiem jest Jose dos Santos w Lizbonie, pod komendą którego na Rosyę pozostają opryszki w niemieckich miastach portowych (Hamburgu, Bremie), oraz pruskich stacyach pogranicznych, a ci znowu mają swoich naganiaczy w naszym kraju. W Bremie — według korespondenta *Kuryera warsz.* — zawiaduje przedsiębiorstwem niejaki Heidenreich, właściciel zajązdu. Porozumiewa on się z dyrektorem „Lloyda“ i pośredniczy poufnie między nim a Santosem i agentami. Na dworcu kolejowym w Bremie uwija się gromada oprawców, którzy mówią po rusku, polsku i niemiecku. Większość używa wprawnie języka polskiego; są to bowiem Niemcy z Poznaniańskiego i Łodzi, a znajduje się między nimi jeden warszawianin, najenergiczniejszy naganiacz.“ *)

W granicach naszego kraju rozpoczęli naprzód agitację Niemcy, następnie zaciągnęły się do niej rozmaite jednostki moralnie pokalane, wreszcie prowadzą ją bezwiednie odurzeni i usidlani chłopci. Takim w Mławie pierwszą pobudkę do emigracyi dał nauczyciel miejscowej szkoły ewangelickiej Gustaw Schreiber. Najczynniej w namawianiu i przeprowadzaniu wychodźców przez granicę współdziałają kontrabandziści, dla których jest to nowa odmiana rzemiosła.

*) *Kurier warsz.* w numerze środowym zawiadamia, że głównym agentem na Królestwo Polskie w Berlinie są: Matfeld i Langenberg. Pierwszy z nich jest współwłaścicielem firmowym domu transportowego w Warszawie przy ulicy Jerozolimskiej.

— Antosiu, pan dyrektor czeka: częstuj wódką!

— Jestem dziś bardzo przy apetycie — rzekł Straszewski, zwracając się do gospodyni domu.

— Zrabujemy pani dobrodziejce całą spizarnię: nie można takich wilków często prosić...

Śmiejąc się, conceptując, brał jedną tartinę po drugiej. Chwalił kawior, zachwycał się łososiem, pił powtórnie wódkę.

Biedrzycki z panem Antonim jedli mało, mówili jeszcze mniej.

— Oni teraz jak dwa koguty — rzekł dyrektor, wskazując na nich. — Już ja kwituję z ich sąsiedztwa. Pozwoli pani dobrodziejka — dodał, zwracając się do gospodyni domu — usiąść przy sobie. Mój szczerliwy partner niech będzie sąsiadem z drugiej strony. Dzielnym chłopiec: takich lubię!

— Jak dawno skończyliście kursy, kolego? — zapytał nachylając się w stronę Julka.

— Trzynastego czerwca dwa lata temu zdałem ostatni egzamin. W trzy miesiące potem miałem zaszczyt przedstawić się panu dyrektorowi — rzekł Julek śmiało, bez trwogi patrząc w oczy Straszewskiemu. — Odtąd — dodał — wdycham do posady, na którą mi pan dyrektor wciąż każe czekać cierpliwie...

— No, jaki to uszczypliwy! — zawołał Straszewski, śmiejąc się i uderzając Julka ręką lekko po ramieniu.

Zwróciwszy się następnie do sąsiadki, dorzucił:

— Siostrzenice pani naprawdę dzielny młodzieniec!

Zniżając głos, szepnął:

— Teraz, kiedy go poznałem, nie zapomnę o nim: możecie państwo, być tego pewni.

Podano szynkę na gorąco, obłożoną *purée* z grochu! Pani Felicja sama położyła sąsiadowi dwa ładne kawałki ze środka. Po szynce przyniesiono kureczkę z rożna, szparagi i kompoty. W przerwach między jednym daniem a drugim, gospodarz nalewał w kieliszki starego węgryzyna. Wznoszono toasty: najpierw na uczenie trwałości koleżeńskigo przymierza, następnie — za zdrowie solenizanta i jego małżonki.

Po kremach i galaretach, których dyrektor był wielkim zwolennikiem, podano czarną kawę i likiery własnoręcznej fabrykacyi pani Felicji. Straszewski, podochocony, wołał jeszcze o wino, aby wychylić kieliszek na cześć młodego sąsiada i jego przyszłej kariery. Uśmiechnięty, z oczyma trochę rozmarzonymi, z głową chwiejącą się cokolwiek to w tył, to naprzód, ścisnął Julka, powtarzając:

— Już będę pamiętał o tobie! Spuść się na mnie! Dzielnym z ciebie chłopiec!

Kolacya skończyła się późno. Straszewski nie puszczał Julka od siebie. Wychodząc, wziął go pod rękę i nie puścił, aż przed bramą swego domu. Przez drogę powtórzył kilka razy:

— Z twoją głową powinienś zająć da-leko! Stanowczo pomyśl o tobie!

Nazajutrz w fabryce, dopytawszy się, gdzie pracuje, sam pierwszy przystąpił do niego, podając mu rękę na powitanie i twierdząc, iż oddał się zbyt ciężkiej pracy.

Dwa miesiące nie upłynęły, kiedy Julek dostał nominację na pomocnika jednego ze starszych inżynierów. W pół roku potem, dzięki wakansom, jaki się otworzył, został kierownikiem przy oddziale kotłów parowych. Po roku podwyższono mu znacznie pensję.

Straszewski, klepiąc go po ramieniu, powtarzał często:

— Karyera przed tobą, chłopcze, karyera! Nie dla kształtu masz głowę!

Cecylia Walewska.

„Dla podniecenia wyobraźni włóścian w miejscowościach pogranicznych agencji emigracyjnej — jak donosi korespondent *Kur. warsz.* z Płocka — przybierają charakter wędrownych właścicieli panoram. Stereoskopy takie, przedstawiające rajskie widoki i właściwości Brazylii, najbardziej czynne są: na odpustach, targach i nawet nabożeństwach niedzielnych, gdzie za opłatą 1 kop. każdy „cudom brazylijskim“ napatrzyć się może dowolnie...”

O innym środku kuszącym zawiadania *Kuryer codzienny*.

„Do jakiej czelności dochodzi agitacja — powiada on — dowodem książeczki drukowane w potwornym polskim języku, zawierające wizerunki litografowane z podpisami: „królowej angielskiej,” „papieża opiekuna Brazylii,” księży różnych, widoki kościołów, wiosek itp., a w końcu portrety chłopów polskich w chwili przybycia do Brazylii i po dwóch miesiącach pobytu. Ci ostatni ubrani są w eleganckie szaty, w cylindry, z workami złota...”

Naturalnie nie agitacyjna opasuje całe pogranicze, ale powoli zaczyna się przysuwać ku okolicom dalszym. Dostrzeżono już naganiaczów w szynkach i fabrykach warszawskich.

Pomimo że prawo niemieckie zabrania takiego nieoniego handlu ludźmi, a obecnie nawet zatamowało emigrację do Brazylii z powodu panujących tam chorób, nie tylko agenci pakują bezkarnie żywy towar na okręty w portach i dopuszczają się najbezczelniejszych nadużyć, ale nawet (według *Wieku*) landraci pruscy dopomagają naganiaczom, wydając „przepustki” dla wychodźców naszych, którzy za temi kartkami przejeżdżają granicę.

Podróż. Korespondent *Gazety warsz.* wypisał z ksiąg rejenta mławskiego kilka aktów sprzedaży, dających wyobrażenie, z jaką skwapliwością włóścianie wyprzedają się za bezcen ze swych gruntów i dobytku dla zyskania pieniędzy na podróż do Bremy (ziemię po 20—30 rs. za morg, krowy — 10 do 15 rs., zagon kartofli — 50 kop. itd.). Spieniężwszy wszystko, powierzają się zwykle szwarcownikowi, który za rubla od osoby przeprowadza za granicę. Jeden z korespondentów usiłował ich wybać w Hamburgu: odmówili objaśnień, przyznali się tylko, że kolej z Łowa kosztowała ich po 40 rs.! Sprawozdawca *Kuryera warsz.* tak opisuje ich niedolę w Bremie:

„Gdyby mi najwiarogodniejsza osoba opowiadała o tem, na co tu patrzę od wczoraj własnymi oczami, istotnie nie mógłbym dać wiary. Toć to już nie emigracja do Ameryki w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, ale istna wędrówka narodów. Brema literalnie zalana wychodźcami. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać ich grupy z żonami i dziećmi. I tak idzie codziennie przez całe lato, tak dalece, że tutejsze towarzystwo nawigacyjne „Norddeutscher Loyd in Bremen,” główny przedsiębiorca wywozu kolonistów do Ameryki południowej, względnie do Brazylii, nie może na przewóz ich dostarczyć dość okrętów, tak, że masa wychodźców czeka tu już od dni kilku na odjazd. Tymczasem obdierają w Bremie biednych wychodźców, którzy za nędzny nolec i wikt muszą dziennie opłacać po sześć marek od osoby. Przewóz morzem darmo. Większa część, obdarta po drodze z wszystkich zasobów pieniężnych, wsiada bez grosza na okręt, zdając się na łaskę lub niełaskę swoich oprawców. Widziałem tu na własne oczy, jak oszukują wychodźców przy wymianie pieniędzy. Za rubla płacą zaledwie dwie marki, ale jeszcze więcej ich grabią przy wymianie rubli na brazylijskie pieniądze, na których się żaden z wychodźców nie zna. Jak się przekonałem z rozmowy co najmniej ze stoma wychodźcami, prawie nikt z nich nie wie, że jedzie do Ameryki. Na pytanie bowiem, jakie im zadawałem: „Czy i wy jedziecie do Ameryki?” — otrzymuję zawsze stereotypową odpowiedź: „Nie, proś pana, my idziemy do Brazylii.” Dokąd? Nie wiedzą, przynajmniej tak wszyscy zapewniają, chociaż, zdaje się, że zwią-

zano ich rzeczywiście przysięgą do zachowania wszystkiego w jaknajwiększej tajemnicy.”

Z Bremerhaven: „Byłem obecny przy naładowywaniu okrętu „Baltimore“ towarami ludzkimi. Agenci obchodzą się z wychodźcami, jak z bydłem. Wielu żałuje, iż kraj opuścili. Od rana deszcz leje, jak z cebra, potęgając grozę scen z iscie dantejskiego piekła. Dokoła rozlega się jęk kobiet, płacz rozpaczliwy dzieci, przekleństwa mężczyzn. Nawpół omdlałych maruderów okręt zabiera na pokład. W ścisłości i zgiełku zachodzi kilka wypadków epilepsji; na chorych przecieży nikt tu nie zwraca uwagi.”

W Brazylii. Agenci, bądź pojmując skuteczność pomysłu wiadomości nadsyłanych z Brazylii, bądź paraliżując niepożądane, nadsyłają listy fałszowane i jakoby pochodzące od wychodźców, którzy wabią krewnych i znajomych do mniemanego raj. W korespondencyach tych donoszą, że chleb rośnie na drzewach, a pieniądze można kopać jak kartofle itp. Ale nadchodzą również listy prawdziwe, pełne skarg i rozpacz, które ochładzają zapalonych. Tu kucharz (z Maliniec, pow. koniński), tam owczarek (z Nosarzewa, pow. mławski) i inni, którzy przybyli na miejsce, ostrzegają krewniaków i przyjaciół obrazami swego nieszczęścia. Na szczególną jednak uwagę zasługuje list pewnego emigranta z Mławy, człowieka nieco ukształconego, który dość obiektywnie i krytycznie przedstawia położenie. Pisz on:

„Chleba tu nie masz, kartofli tak samo; w mieście są, ale nie dobre i drogie jak ryż, więc tylko rzeczy, które tu widzę, podługowaty groch, kukurydza i kawa. Tu mil (równa się ruskiemu rublowi i trzyma 1,000 rełsów) takie ma znaczenie, jak u was złotówka. Butelka piwa zagranicznego 1 mil, tutejszego 1/2 mil, 1 kilo wieprzowego mięsa 1 mil; bydłęcego 1/2 mil, kwarta nafty 1/2 mil itd. Taniego tu niema zgoła nic, oprócz surowej kawy i pomarańcz. Rolnictwo tu jeszcze śpi, wsi tu jeszcze nie masz, wozów tu nieznają oprócz dwukółowego na drewnianej osi pięciu parami wołów ciągniętego, wszystko przewożą na mulach, koni używają tylko pod wierzch. Miałem zostać w St. Paulo w fabryce powozów, lecz że tam strasznie drogo, nie zdecydowałem się; tak samo do Campinas, tam zaś panowała przez dwa lata żółta febra, bałem się i poszedłem do plantacji kawy. Nie jest tu tak, jak sobie emigranci wyobrażają; niech jedzie taki tylko, co niema nie do stracenia, przedewszystkiem potrzeba znać tutejszy język, bez tego ani rusz. Równiny tu jeszcze nie widziałem, same góry. Mieszkania są tu bez sufitów i szyb w oknach, pieców także nie masz, krów nie doją, masła nie znają, kur, owiec i świń dosyć, lecz chlewo dla nich niema, cały rok na pastwisku. Teraz tu mamy zimę, tj. tak jak u nas marzec; noce są dość chłodne, w przeszłym miesiącu zimno, lecz słońce, gdzie się położy, to plece, rano przed g. 7-mą robi się dzień, wieczór po g. 6-tej noc. W lasach drzewa nie są ani grube, ani zbyt wysokie, lecz tak zrośnięte i przypieczone, że jak sto spuścisz, to ani jedno dostaniesz. Do Bremen jechałszy z Ilowaz z Bremen odwieziono nas na dwóch mniejszych statkach. Było nas około 700 osób, wyłącznie z Rosyi i Niemiec. Bałwany tak okrętem rzucały, jak jaką skrzynią. Była to okropna jazda; najgorzej było już jak widzieliśmy ląd brazylijski cały dzień, a w nocy taka burza, że nie na miejscu się nie utrzymało. Jedna armata się oderwała, ludzie z łózek pozatali, już myślałem, że okręt się przewróci. Nie zapomnę tego nigdy. Człowiek tak słaby, bo chleb, mięso, kawa i herbata na statku nie dla ludzi; ja żyłem tylko zupa, a dziecko winem, butelka 2-ie marki. Widok okropny, co dzień ci dwoje lub troje dzieci rzucono w wodę, gdyż panowała na okręcie ospa, a niejedni żalowali, iż się puścili w drogę. Na domiar wszystkiego niema nigdzie miejsca, aby usiąść, jeżeli jest, to się porusza miluchniami zwierzątkami, których unikamy. Nieszczęśliwy każdy, kto emigrancim okrętem jedzie do Brazylii. Dnia 20-go przybyliśmy do Bahii. Tuśmy zostali pięć dni na wyspie, 50 dzieci, 4-ch dużych musiało iść do szpitala. Stąd każdy pojedną, gdzie chciał. Kłaniam się i pozdrawiam znajomych wszystkich, Józef Czypek Braganza.

A jakież los czeka tych, którzy mniej sobie radzić umieją, ciemnych chłopów?

Środki zapobiegawcze. Władze administracyjne zaczęły energicznie tamować ruch emigracyjny; wstrzymano wydawanie „przepustek” ludności pogranicznej, uwięziono kilku naganiaczów, wreszcie policja arestuje na dworcach kolejowych partje wychodźców i odsyła ich do miejsc zamieszkania. Dzięki tym środkom w ostatnim tygodniu wywlewno znacznie zmalał.

BADANIA NAUKOWE.

WIECZNE LODOWISKA GRENLANDYI

i najnowszy projekt podróży na jej wschodnie wybrzeża.

Grenlandya, kraina polarna pokryta prawie całą olbrzymim całunem lodowym, wśród którego sterczą tylko tu i owdzie najwyższe szczyty pogrzebanych gór, jako tak zwane „nunatak,” przedstawia w miniaturze obraz epoki lodowej, jaka niegdyś istniała na ziemi. Z tego powodu wyspa ta, mimo swej niegościnnej, groźnej przyrody, stała się oddawna celem wypraw badawczych, szczególnie dla uczonych skandynawskich. W jednym z naukowych czasopism norweskich pojawił się niedawno artykuł, którego autor kreśli historyczny rozwój naszych wiadomości o wiecznych lodach Grenlandyi; interesujący ten artykuł podajemy tutaj w skróceniu za czasopismem *Petermann's Mitteilungen* (1890 VIII).

Autor zaznajamia nas z początkiem, w jaki sposób sami krajowcy, Eskimowie, nabyli pewnych wyobrażeń o geografii swej surowej ojczyzny. Gdy pierwsi eskimoscy przybysze przekroczyli Smithsund, znaleźli się w kraju zupełnie sobie nieznanym i gdy późniejsze generacje rozprzestrzeniły się powoli po całym jego obszarze, przeniosły swe dawne podania na tę nową siedzibę bez wielkich modyfikacji. Tym to sposobem Indianie, z którymi przodkowie Eskimów grenlandzkich walczyli na północnych wybrzeżach Ameryki, zmienili się w bajecznych mieszkańców lodowego wnętrza Grenlandyi. Dalej autor przypuszcza, że przybysze w części udali się drogą ku północy dokoła wyspy i stąd powstało wyobrażenie o cieśninach, przecinających w poprzek Grenlandję, które utrzymało się przez wiele lat. Obok tego jednak Grenlandczycy nabyli i prawdziwych wiadomości o kraju, dzięki swym wyprawom na renifery. Poznali oni wzdłuż krawędzi lodową i wiedzą, że po za tą krawędzią wszystko jest zlodowacone, wyjąwszy nunataków. Czasami dostawali się oni nawet na wierzch krawędzi, po części poszukując poprzecznych dróg przez lody, po części ściągając reniferów na nunatakach. Idea, że we wnętrzu Grenlandyi mogą istnieć oazy wolne od lodu, jest wytworem europejczyków, grenlandczycy nie wiedzą o takich domysłach. Za to pojęcie grenlandczyków o zmianach krawędzi lodowej są niejasne: podejrzają, że na zachodnim wybrzeżu mówią o posuwaniu się lodów naprzód, pokrywaniu obszarów dawniej wolnych od lodu, to mieszkańcy wschodniego wybrzeża utrzymują, że lód się cofa. Gdy grenlandczycy utrzymują, że we wnętrzu ich kraju są jacyś mieszkańcy, to powstaje naturalnie pytanie, czemu oni żyć mogą? Odpowiedź grenlandczyków jest prosta: środkami nadnaturalnymi. Mają też tam znajdować się i zwierzęta nadnaturalne.

Pierwsze wiadomości o Grenlandyi zawdzięczamy, jak wiadomo, dawnym skandynawom, Normanom, którzy dzięki swym zdolnościom żeglarskim, dzięki zwięzieniu oceanu Atlantyckiego na północy oraz pośrednictwu Islandyi, odkryli i skolonizowali Grenlandję na 400 przeszło lat przed Kolumbem. Koloniści ci jednak ograniczyli się do wybrzeży, a przynajmniej nie nam nie wiadomo o ich usiłowaniach dostania się do wnętrza kraju.

Z upadkiem tych pierwszych kolonij zniknęła powoli i wiadomość o Grenlandyi. Po powtórnem jej odkryciu poznano wprawdzie zewnętrzne zarysy wybrzeży, ale o zbadaniu wnętrza nie było mowy przez więcej niż 100 lat (1590—1710); przeciwnie wkraśl się nowy błąd do wiedzy o tym kraju: odkrycia Frobischera na wybrzeżach Ameryki zostały przeniesione na Grenlandję; żąd powstała cieśnina Frobischera,

a z biegiem czasu zaczęto przedstawiać na mapach dwie cieśniny, przerzynające wpoprzek Grenlandję, na mapie zaś Meyera w 1650 r. widzimy Grenlandję poćwiartowaną na liczne wyspy.

Dopiero z przybyciem Egedego do Grenlandji w 1721 roku, zaczynają się rozpowszechniać o tym kraju prawdziwsze wiadomości z pewnemi jednak wahaniem, gdyż podanie o cieśninach i wolnych od lodu ścieżkach reniferowych czasami znów się pojawiały; zarazem powstała idea o wolnych od lodu oazach we wnętrzu.

W roku 1857 niezmordowany badacz Grenlandji Rink wydał geograficzno-statystyczne dzieło o tym kraju, poświęcone głównie zbadaniu pokrywy lodowej. Krawędź tej pokrywy została o ile możności określona i naniesiona na mapę, fiordy, gdzie lody wnętrza dosięgają morza i wytwarzają góry lodowe, zostały rozklasyfikowane według produkcji lodu; wreszcie obliczona została przybliżenie ogólna produkcja lodu i porównana z przypuszczalną ilością opadów we wnętrzu Grenlandji. Po drodze wytkniętej przez Rinka poszli systematycznie inni badacze skandynawscy tak, iż obecnie posiadamy mapę całej duńskiej Grenlandji zachodniej oraz południowej części Grenlandji wschodniej, na których cały nieprzerwany skraj lodów wewnętrznych jest oznaczony. Z pewnem przybliżeniem skraj ten można określić i dla pozostałej części brzozy zachodniego, dzięki wyprawom cudzoziemskich badaczy, podczas gdy o północnej części wschodniego wybrzeża nie w tym względzie nie wiemy.

Obok oznaczenia skraju zlodowacenia ważną kwestją w badaniu Grenlandji były pomiary szybkości, z jaką wewnętrzne lody spływają ku fiordom, aby tam obłamywać się i dawać początek niezliczonym górcom lodowym, szybkość ta okazała się, jak wiadomo, wyjątkowo wielką (do 20 metrów na dobę).

Przy coraz bardziej wzrastającym interesie, który budziła wśród uczonych grenlandzka pokrywa lodowa, zaczęto wreszcie próby dostania się po niej do wnętrza kraju. Z wypraw tych szczególnie zasługuje na uwagę ostatnia, Nansena, który przebył wpoprzek Grenlandję 1888 r. Wyprawy te sprostowały wiele mylnych mniemań. Mianowicie zaprzeczyły one domysłowi, że, z powodu utraty wilgoci przez wiatry morskie na krawędzi lodowej, wnętrze musi być suche, a stąd posiada oazy wolne od lodów; owszem, wyniosłości środkowe otrzymują, jak się zdaje, bardzo znaczne opady śnieżne; w jaki sposób śnieg ten zamienia się w lód, aby napowrót dostać się do morza, jest to kwestya bardzo obszerna, do rozwiązania której wyprawa Nansena dostarczyła ważnych materiałów.

Do wyłącznych nowych należą badania nad dawnymi osadami lodowcowemi, które obecnie pokrywają wolny od lodów pas nadbrzeżny. Badania te, które rozpoczęto dopiero w 1870 r., dostarczyły niezmiernie ważnych danych do poznania epoki lodowej. Wreszcie niemniej doniosłą kwestją, przedstawiającą się badaczom Grenlandji, są wysoko leżące znaki dawnej linii brzegowej. Zjawisko to tłumaczy zwykle wraz z Penkiem zmianami zachodzącymi w masie potężnej skorupy lodowej, pokrywającej Grenlandję, a więc zmianami atrakcyj, jaką lody wywierają na wodę; tłumaczenie to jednak nie zgadza się z wywodami matematycznymi.

Ważną lukę w naszych wiadomościach o Grenlandji stanowi, jak już wspomnieliśmy, północna część wschodniego wybrzeża, to też obecnie poręcznik marynarki duńskiej, Ryder powziął plan wypełnienia tej luki. Wyprawa obliczona na dwa lata wyruszy z Kopenhagi w maju lub na początku czerwca 1891 r. w skład jej wejdzie dziewięciu członków, mianowicie dwóch oficerów marynarki, jeden uczony, czterech majtków i zapewne dwóch grenlandczyków

z duńskich kolonij zachodniego wybrzeża. Wyprawa zabierze ze sobą trzy łodzie, dom mieszkalny i obserwatorium, sanie, namioty, łyżwy śniegowe (ski), instrumenty, broń, amunicję itd. oraz zapasy żywności na dwa lata. Podróżnicy postarają się przedewszystkiem wylądować pod 69° szer. pn. i założyć tam skład zapasów żywności dla żeglugi letniej 1892 r., następnie popłyną do przylądka Stewart, południowo-wschodniej kończyny kraju Jamesona na północnej stronie sunda Scoresbyego. Miejscowość ta nadaje się doskonale do przezimowania, gdyż kraj jest tutaj niski, lekko falisty, podczas gdy dalsze okolice składają się z wysokich dziko poszarpanych skał, są pokryte lodami i pozbawione wszelkiego życia tak roślinnego jak zwierzęcego. Kraj Jamesona zaś posiada stosunkowo bogatą roślinność oraz zwierzyinę, a prócz tego obiecuje bogatą zdobycz pod względem mineralogicznym: znajdują się tutaj różne piaskowce i łupki obfite w skamieniałości. Szczątki wielu chat eskimów wskazują, że przylądek Stewart i pod względem połowu psów morskich jest dogodnie położony, co wraz z polowaniem na niedźwiedzie, renifery itd. wyprawę zaopatrzy w świeże mięso i uchroni od jednostajności pożywienia konserwowego. Wreszcie przylądek Stewart jest dogodnym punktem wyjścia dla wypraw saniami.

Gdy statek, wiozący wyprawę, dosięgnie pomysłnie tego punktu, domy i zapasy zostaną przewiezione na ląd, część wyprawy zostanie tu prawdopodobnie dla prowadzenia obserwacji meteorologicznych, magnetycznych i astronomicznych. Większa część wyprawy zaś po urządzeniu stacyi wsiądzie znów na okręt, ażeby resztę arktycznego lata użyć na zbadanie licznych fiordów. Gdy stosunki lodowe w jesieni przeszkodzą dalszej żegludze, okręt odwiezie podróżnych do stacyi i powróci do Danii.

Czy wyprawa napotka na tem wybrzeżu mieszkańców trudno przewidzieć. Scoresby znalazł tu w 1822 wiele chat i ognisk z popiołem, co wskazuje, że Eskimowie byli tu prawdopodobnie niedawno przed jego przybyciem. Clavering napotkał w 1823 r. rodzinę złożoną z dwunastu osób osiadłą na wyspie, która później otrzymała jego nazwisko. Późniejsza wyprawa niemiecka nie znalazła tutaj nikogo. Ryder jednak nie uważa za rzecz niemożliwą odnalezienie tutaj jakiegoś odosobnionego plemienia, podobnie jak na zachodnim wybrzeżu koło przylądka York, gdzie znaleziono eskimów zupełnie odosobnionych od pokrewnych im grenlandczyków duńskich przez lody zatoki Melville. Znalezienie takiego odosobnionego plemienia byłoby niezmiernie interesujące dla nauki. W ciągu zimy wyprawa zajmie się naukowemi obserwacjami na stacyi oraz będzie przedsiębrać krótsze wycieczki saniami w okolice, na wiosnę zacząć się dalsze wycieczki. Gdy zaś w lecie lód stanie się kruchy i słaby, wówczas nastąpi czas wypraw na łodziach. Gdyby okrętowi, wysłanemu dla zabrania podróżnych z powrotem do kraju, nie udało się ich osiągnąć z powodu niekorzystnych stosunków lodowych, to w takim razie wyprawa przezimuje na wschodnim wybrzeżu i w lecie 1893 r. puści się na łodziach wzdłuż wybrzeża ku południowi dla osiągnięcia duńskich kolonij zachodniego wybrzeża, skąd na statku handlowym powróci do Europy.

W. N.

szy — przysporzy raczej trochę więcej plew, na których i dotąd literaturze polskiej nie zbywało. Jakkolwiek cały ten tom można śmiało nazwać płodem poronionym to jednak, po zestawieniu obu poetów z sobą, okaże się, iż p. Wiktor gładszej rymuje. Krąży on około Parnasu wierszów częstochowskich i niekiedy tylko przestępuje jego próg, gdy tymczasem p. Edward z tej „wyżyny“ prawie nie schodzi i nigdy może nie zejdzie... Obaj jednakże zarówno wygrywają na wystruganych kozikiem fujarkach stare, najekliwsze motywy romantyzmu. W obu pokutuje i na złość opętańcom Muzy zarywa fałsetem pseudo-bajronizmu — nieśczęśliwy duch Gustawa: obaj też są parodią jego.

Autorowie mogli śmiało trzy czwarte swoich rymów zostawić w wyłącznem posiadaniu albumów pensyonarek, do których były przeznaczone, lub te z nich, które opiewają boleść zranionego serca, zniszczyć wcale. Ponieważ jednak poeci tego nie zrobili i woleli okazać czytelnikom wszystkie skarby swojej muzy, odwiejmy przeto sami plewy, a skromne ziarenka „talentu“ powołajmy na świadków... banalności.

Lira p. Wiktora nie wiele ma do czynienia z bólami i pragnieniami zbiorowemi, on na niej wybrząkuje tylko nuty pesymizmu osobistego i gorzkie żale zawodów miłosnych. Tak go one zrażają czasem do świata, że w wierszyku zatytułowanym „Własny świat“, opisuje swoje cofnięcie się w głąb siebie samego, gdzie sam jest panem i gdzie tworzy „istne dziwy“, znajdując w tem szczęśliwość... Taka kontemplacja nie budzi w nim potrzeby walki, bo po co? Czy on „puszczyk“, żeby „miał szerzyć“ waśń, gdzie cichą żyją zgrają, by miał prawie im,

... w co wierzyć,

A w co wierzyć znów nie mają?

Ponieważ jednak poeta nie jest jeszcze zapewne zupełnie dotknięty chorobą woli i należy do tej sfery, gdzie są uprawiane ideały, oparte na zgodzie ognia z wodą, zjawia się więc u niego ochota do czynu, ale takiego, któryby nie szerzył waśni tam, gdzie „cichą żyją zgrają“. Powiada on:

Dziś sny tęczone, marzenia i pieśni
Już nie rozchmurzą posępnego czoła,
Bo tłum nie marzy, nie roi i nie śni,
Kiedy o chleba kawałek woła,

I obrawszy w ten sposób ową „zgrają“, na wspólną z warunkami materialnymi jej bytu, z wyższych pragnień, wytyka sobie i wskazuje innym utartą ścieżkę filantropii, bo

Dziś czynu trzeba i żelaznej woli,
Żeby przytłumić te jęki i skargi,
Trzeba zstępować do mieszkań niedoli
I często odjąć chleb od własnej wargi.

Nie wiele warta taka robota, jako równająca się napełnianiu beczki bezdanej, ale że poeta poleca ją, świadczy tem tylko o dobroci swego serca. Skarży on się, że warunki życiowe zepchnęły go z „wyżyny ducha“ na ziemię, że tylko

Ten nie czuje, jak boleśnie
Zrzec się raju jest dla chleba
I zaprzestać tworzyć pieśnie,

kto nie miał sposobności poznać

... chociaż w trosze
Co to rajske są rozkosze
Co to przedsmak żywy nieba.

O p. Edwardzie jeszcze mniej daje się powiedzieć. Banalności myśli dotrzymuje u niego kroku zupełna nieudolność formy. Z uczuć jest on potomkiem Gustawa — Gustawkiem. A kiedy potrafi o motyw społeczny, przeżuwa ząbkami mlecznymi oklepany wątek — miłości panicza i dziewczyny chłopskiej z przeszkodami pychy rodowej

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wiktor i Edward, *Poezye*. Częstochowa, 1890.

Jest to zbiorek mowy wiązanej, puszczonej w świat gwoili miłości autorskiej. Skarbowi poezji naszej on, niestety, nie powie-

rodziców, albo też przestrzega dziewczę, żeby nie chodziła do miasta, bo ono jest

... dla wiejskiej dziewczeczki zdradne.
Ludzie w niem inși, nie jak wioskowi,
Co ma najdroższe, wydrzeć gotowi...

radzi jej zostać w wiosce i patrzeć

... na te łąki i lany
Na lasy, gaje, słomiane chatki.

Zyg. Piet.

LITERATURA NIEMIECKA.

Marya Ebner-Eschenbach. — „Czwarte przykazanie“ Anzengruber.

W tych dniach Marya Ebner-Eschenbach obchodziła sześćdziesiątą rocznicę swych urodzin. Słynna autorka wiedeńska zasługuje w pełni na sympatię, którą jej okazują wszyscy zajmujący się literaturą niemiecką. Jest to umysł poważny i szlachetny, który rozwijał się wśród cierpień nieodłącznych od wyższej twórczości artystycznej. „Kto mówi o przyjemności tworzenia — twierdzi Ebnerowa w jednym ze swych aforyzmów — ten wydał chyba tylko komarów.“ Karyera literacka raczej ją odstraszy, niż zachęcać mogła. Ebnerowa jest córką hr. Dubickiego i w młodości zajmowała się piśmiennictwami słownymi. Przed trzydziestu laty wydała dramaty „Maria Stuart“ i „Maria Roland“, jedną ze sztuk jej wystawiono nawet w Burgtheaterze, mimo to jako autorka dramatyczna rozgłosu zdobyć sobie nie mogła. Pierwsza większa jej powieść „Die Freiherren von Gemperlein“ tułała się przez lat parę od redakcyi do redakcyi, aż Paweł Heyse ją ogłosił. Już w tej powieści stanęła na gruncie, z którego najobfitsze wykwitły dla niej wawrzyny: jest to satyra na stosunki szlacheckie, które Ebnerowa zna wyśmienicie i opisuje z ironią świadczącą o powadze umysłu. „Zwei Comtessen“, to może najdzielniejsza satyra na szlachtę współczesną, jaką literatura europejska wydała. Mistrzynie noweli niemieckiej zdobyły sobie uznanie i sympatię ludzi obojętnych dla literatury pięknej księgą aforyzmów, które z niezwykłym sprytem i z najwyższą prostotą słowa streszczają rezultaty rozmyślań i spostrzeżeń bystrej kobiety, przejętej idealizmem umysłów najszlachetniejszych.

Jak Ebnerowa w powieściach swych z techniką realistyczną łączy kompozycję prawdziwie artystyczną i polot idealny, tak Anzengruber stworzył dramat realistyczny o głębokiej, prawdziwie idealnej tendencji. Wiadomo, jakiej wrzawy narobił w Berlinie utwór Sudermanna „Die Ehre“. Przygotowywa go właśnie do wystawienia „Theater an der Wien“, a dzięki systemowi konkurencyi teatralnej, praktykowanemu w Wiedniu, Deutsches Volkstheater wystawił wprzód Anzengruber „Viertes Gebot“, sztukę będącą pierwowzorem dramatu Sudermanna. Autor zwalcza tu dogmat ślepego wobec rodziców posłuszeństwa losami trzech rodzin. Akcja odgrywa się w kołach drobnego mieszczaństwa wiedeńskiego, to też po części rozmowa toczy się w dyalekcie. Hutterer, właściciel domu, zmusza swą córkę Jadwigę do rozłączenia się z ukochanym jej, biednym nauczycielem gry fortepianowej i do poślubienia bogatego Stolzenhalera, człowieka grubego i zrujnowanego życiem rozpustnym. Widzimy skutki tego małżeństwa: dziecko Stolzenhalera umiera z wycieńczenia sił, żona ucieka z domu męża i kona wolna. Stolzenhaler, żeniąc się z Jadwigą, opuścił dawną swą kochankę, córkę biednego tokarza, mieszkającego w jego domu. Oto motyw powtórzony w „Ehre“ Sudermanna z mniejszym znacznie talentem: stosunek bogatego „Vorderhäuslera“ do ubogich „Hinterhäuslerów.“ Rodzina Schalanterów we wszystkich człon-

kach swych jest typową dla Wiednia: ojciec, zaniedbujący robotę i zapijający się w knajpie, wiecznie rezonujący; matka, która naprowadza córkę na drogę rozpusty i sama mimo dojrzałego wieku wdzięczy się i romansuje; córka, która zaczyna „stosunkiem“, a kończy prostytutką; wreszcie syn, niepoń, pieszczone przez rodziców, dochodzący do chorobliwej pyszałkowatości, dzięki czemu jako żołnierz zabija przełożonego i ginie z wyroku sądu wojkowego. „Skoro mówicie dzieciom w szkole: czcij ojca i matkę, powiedzieź też rodzicom, aby na to zaślugini“ — oto ostatnie słowa rozstrzelanego.

Skoro zajrzymy głębiej do jędrnego tego utworu, nazwanego przez poetę skromnie „Ein Volkstück“, widzimy, że Anzengruber, nie napisawszy ani jednej rozprawy teoretycznej o realizmie i technice dramatycznej, rozwiązał wszystkie niemal zagadnienia, które dziś realisci się zajmują. Postacie jego żyją w oczach widza pełnem, codziennem, prawdziwym życiem; nigdy iluzji, że nie scenę, lecz życie mamy przed sobą, nie czuliśmy w stopniu tak silnym, jak podczas przedstawienia „Czwartego przykazania.“ Użył dalej Anzengruber motywu dziedziczności, wyprzedzając Ibsena, wykazał wpływ otoczenia, słynnego „milieu“ Zoli. A co najważniejsza, stworzył dramat nawskróś realistyczny, który bynajmniej nie jest stekiem brudów, lecz odzwierciedlając wiernie życie i naturę ludzką, nie opuszcza ani na chwilę gruntu idealnego i głosi jedno z przekonań nowej etyki: bądź samodzielnym i znos samodzielną drugich.

Stwosz.

T E A T R.

Fredro (ojciec). List. Komedia.

Dawniej, za czasów panny Popiel i Derynzanki, później za życia Żółkowskiego i Wisnowskiej teatr bywał przepełniony, gdy tylko figurowały nazwiska tych artystów na afiszach. Czy to miało znaczyć, że wtedy był kwintniejszy repertuar? Nie zawsze. Główną siłą przyciągającą była wyborna gra, dzięki której niejedna licha sztuka nie schodziła z desek scenicznych przez lata całe. W miarę ubytku pierwszorzędnych sił reżysera komedyi wpadała w coraz większe zakłopotanie. Znaczna liczba utworów granych poprzednio, raziłaby swą miernotą, więc musiała pójść do archiwum. Za to zyskały szerokie prawo obywatelstwa utwory sceniczne francuskie i niemieckie. Ale naraz krytyka zrobiła gwałtowną naganę na reżysera, siedzącego w szczupłej kniei swego repertuaru. Naokoło huczki wołały o „swojskość.“ Osaczony ze wszech stron p. Tatarkiewicz jał się ratować Kazimierzem Zalewskim, ale Warszawa nie posiada miliona wykształconej publiczności, więc wkrótce sztuki wszystkim znane straciły moc przyciągającą. Powtórzyła się nowa naganą i huczki dziennikarskie do wykrzykniku „swojskość“ dodały: „nowość!“ Skądże wziąć tej nowości?.. Pozostał jeszcze jeden środek: wypróbowanie krótkiej pamięci ludzkiej. Posypały się więc wznowienia, ale i tu zawód: „Konkurent i mąż“ Korzeniowskiego nie zajął słuchaczy i prawdopodobnie to samo będzie z zapowiedzianem „Okreśnem.“

W krytycznej chwili przypominano sobie, że istnieje Fredro, którym razono dawniej publiczność dosyć często, ale wykonywanie jego sztuk powierzano z pewnem lekceważeniem przeważnie siłom drugorzędnym. Otrząśnięty z grubej pleśni i kurzu stare jego komedye i wznowiono je obecnie. Publiczność zaczęła napępiać teatr i szczerze się bawić. Możeby nie interesowały jej postacie przeżyte, sytuacje czasem naciągane, rażące nieprawdopodobien-

stwem, gdyby w owych typach nie było wiecznotrwałych cech ludzkich, a w akcji — żywości, szczerzego dowcipu i głębokiej satyry.

Znalazła się więc deska zbawienia, przynajmniej do czasu, ale ma ona dwa końce; gdy reżysera jednego tylko trzymać się będzie, znowu utonie. Tym drugim końcem, nieujętem ratującą się ręką, jest obsada ról, często tak niewłaściwa, że nawet widz, posiadający najmniej zmysłu krytycznego, zdziwiony zadaje sobie pytanie: dla czego kazano to grać panu lub pannie? Dla czego np. p-na Czaki otrzymała rolę młodzieńczej dziewczeczki obok p. Trapszówny, odtwarzającej typ starzejącej się panny?

Na widowisku poniedziałkowym takiej nieodpowiedniości nie było. Obok trzech dawniej grywanych jednoaktówek Fredry („Zręczność i przekora“, „Dwie bliźny“ i „Świeczka zgasła“) wystawiono po raz pierwszy „List“, sztukę o temacie zapożyczonym z niemieckiej powieści: „Der unruhige Abend.“ Podstarzały Orgon (p. Frenkiel) kupuje sobie dom z ogródkiem na ustroniu przedmieściu, gdzie umieszcza młodą żonę Celinę (p. Barszczewska) wraz ze swoją siostrzenicą Zofią (p. Trapszówna). W sercu starego męża drzemie zazdrość, którą mimowolnymi uwagami podnieca dobrze znany Radost (p. Grzywiński) i niepokoi go projektem przywiezienia doń młodego i ładnego synowca, Zdzisława (p. Wolski). Młodzieniec uprzedza zamiary stryja, przybywa potajemnie i naznacza swej oblubienicy, Zofii, schadzkę w ogrodzie Orgona podczas nocy księżycowej. Jednocześnie mąż wpatruje się ukradkiem w małżonkę, stojącą w oknie i naraz słyszy jej tęskny monolog, z którego wnosi, że ta wierna jego towarzysza wdycha do jakiegoś pięknego młodzieńca; skupia uwagę, zbliża się do okna i po chwili widzi Celinę, piszącą list; intryguje go to coraz mocniej, tem bardziej, że zdybany w ogrodzie młodzieniec ciągle się wałęsa i dopiero pod groźbą udaje, że cofa się przez mur, którego przyszedł. Poznał on Orgona (choć ten stara się nie być poznanym), zrozumiał jego zazdrość i postanowił ją wyzyskać, t. j. póty go przesładować udaną miłością dla żony, aż znękany mąż wstawi się za figlarzem do stryja, dla prześlągnięcia jego niełaskawości. Orgon, uspokoiwszy się odejściem nieznajomego, korzysta z chwilowej nieobecności Celinę, czyta list świeżo napisany, gniewie go wzburzony i ciska przez okno. Gałka papierowa trafia w nos czatującego młodzieńca, który poznawszy tresę świstku, chowa go, dla powiększenia skuteczności swej taktyki w razie potrzeby. Orgon, ochłoniwszy nieco z przykrego wrażenia, wychodzi z domu, a właściwie urządził zasadzkę w altanie. Po chwili oczom jego przedstawia się straszny widok: żona wabi młodzieńca, mąż ją łapie za rękę; na okrzyk wystraszonej kobiety wybiega z mieszkanka druga ze świecą. Okazuje się, że złapaną na gorącym uczynku była panna Zofia, zaś Celina tylko przybiegła na ratunek. Nieporozumienie szybko się wyjaśnia, Zdzisław otrzymuje zezwolenie na związek z siostrzenicą Orgona; owym zaś listem była kartka z romansu, pisanego potajemnie przez Celinę.

I ten, jak wiele innych utworów Fredry, ratuje się humorem i dowcipem, co wszakże nie może zatrzeć takiego nieprawdopodobieństwa, jak wzięcie przez Zdzisława otyłej sylwetki stryja w negliżu i chustce na głowie za wiotką pannę Zofię, i to zbliżka przy księżycu. Ten sam młodzieniec nie może zobaczyć numeru domu, a jednocześnie czyta doskonale pismo przy świetle księżycowym. Wyborna gra p. Frenkiela znacznie podniosła sztukę, p. Grzywiński drugorzędną postać Radosta odegrał sumiennie. Panna Trapszówna miała tak mało znaczącą rolę, że sypane jej oklaski przypisać chyba wrażeniu pozostałemu na publiczności po świetnym odtworzeniu po-

stacji innej Zofii w „Zręczności i przekorze.“ P. Wolski byłby dobrym Zdzisławem, gdyby mniej... improwizował. Taka przytomność umysłu przy niedostatecznym przygotowaniu roli łatwiej przejdzie niespostrzeżenie w prozie, niż w wierszu. Dla p. Barszczewskiej korzystniejszym byłby mniej uroczysty ton mowy.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kto i co u nas czyta. — Pytanie, które wystarczy do skończenia świata. — Czytamy to, co wydajemy. — Siły naszego czasu. — Brutalna siła i czynniki rozkładu. — Wyszukiwanie dokumentów geneologicznych człowieka-zwierzęcia. — Brzask nowej doby. — Zwrot ku utworom idealistycznym. — Z ciemności na światło. — Pragnienia nędzarzów.

Kto i co u nas czyta? Pomysłowości tak postawionemu pytaniu dla wywołania polemiki odmówić niepodobna. Bo naturalnie, skoro ani księgarz, ani wydawca pisma nie prowadzi żadnej kontroli stanu i płci swych nabywców i abonentów, skoro rządca domu w mieście, a soltys na wsi nie badają i nie wykazują szematycznie ludzi czytających, to można przy powyższem pytaniu klócić się i rozprawiać do skończenia świata. Paweł powie, że najliczniejszymi spożywcami literatury są garbaci, Gaweł — że kulawi, Jan — że blondyni, Piotr — że bruneci, Anna — że kobiety, Marya — że wdowy itd. W rozstrzyganiu tej zapewnionej na całą przyszłość „kwestyi“ nie myślę zabierać głosu, zwłaszcza że przed śmiercią nie mogę się z nim spóźnić. Jeżeli wszakże pytanie: kto u nas czyta — pozostanie długo otwartem polem dla turniejów, natomiast inne: co czytamy — prędzej znaleźć może swoją odpowiedź. Bo naturalnie czytamy to, co wydajemy, a ponieważ z wykazów bibliograficznych wiadomo, że najwięcej drukujemy powieści, więc wniosek prosty. Śród tych powieści najwięcej przypada na krajowe i francuskie, czyli na idealny realizm i naturalizm. Idealizm angielski i niemiecki płynie tylko wązkim strumykiem przez pisma kobiece. „Cokolwiek powiedzą różni nadsprejscy i nienadsprejscy krytycy — wyrokuje w *Kuryerze codziennym* p. Z. L. S. — literatura francuska zdołała i w tych czasach szarych, robaczywych, czasach małych talentów, a wielkich za to pretensyj, utrzymać dawne swoje przodownicze stanowisko w świecie. Choć pisarzom francuskim zazdroszczą tego i zaprzeczają z namietnością zbyt silną, aby miała być sprawiedliwą, ci, którzyby chcieli zająć ich miejsce, to wszelako literatura francuska, jak zawsze, tak i teraz, nadaje — że tak powiem — ton dziedzinie twórczości literackiej na świecie całym.“ Jeżeli ów „ton“ ma znaczyć wzór, powyższe twierdzenie jest nieprawdą, gdyż ani Niemcy, ani Anglicy, ani Rosjanie, ani Polacy nie naśladowali Francuzów i nie powtarzają za mistrzami ich nuty głównej, wydobywanej z „dokumentów życia.“ Ale jeżeli „ton“ ma znaczyć powodzenie, to rzeczywiście powieści francuskie mają najwięcej czytelników w świecie cywilizowanym. A jakie? Naturalistyczne i realne. Objaw ten zasługuje na uwagę i coraz częściej ją zwraca. Nie jest on zależnym jedynie od formy, w której się wyraża, od talentów, ale w znacznej mierze od istoty, od treści. Otóż dlatego on tak dogodził upodobaniom ludzkim, duchowi „szarych, robaczywych czasów“? Czasy te rozpoczęły się w Europie z epoką wielkich przełomów politycznych i przewrotowych dążeń społecznych. Pierwsze natchnęły świat cynizmem brutalnej siły, drugie — namietnością burzącej krytyki.

Przypomnijmy sobie, że od lat 20 Brennus niemiecki, będący jednocześnie apostołem pięściowej i maczugowej etyki, niezmordowanie nauczał Europę poszanowania i czei dla uprawnionego powodzeniem rozboju, wyśmiewał „sentymantalizm“, tj. uczucia miłosierdzia, sprawiedliwości, idealnych pragnień, lecząc swój naród gwałtownymi środkami z tej „choroby.“ Nie krył on swego wstrętu i wzdury dla wszelkich niesamolubnych pierwiastków ludzkich, z zachwalością, na którą dotychczas wazyli się tylko zmyśleni przez poetów szatani, wyszydzał enoty, obowiązk i poświęcenia, kuśił do wiary w bóstwa nienawiści i wojny, a uwodził nie tyle przekonywaniem, ile olśniewającymi tryumfami. Jeden z angielskich mężów stanu, przypatrując się temu apokaliptycznemu potworowi, wyznał zdumiony, że nigdy jeszcze nie widział człowieka tak ogoloczonego z uczuć szlachetnych. Człowiek ten zaś przez ów wiek posiadał w swoim państwie nieograniczoną władzę, a po za nim wywierał szeroki wpływ. Więc znalazł wielbicieli i naśladowców, którzy, jak on, zaczęli budzić w duszach instynkty złe, a usypiać i dusić dobre. Rozbrzmiały też w Europie hasła walki, egoizmu, dumnego barbarzyństwa, które wypłoszyły z życia cały orszak mar idealnych. Nawet ci, którzy nie przyjmowali czynnego udziału w tej dzikiej orgii, patrzyli na nią z uznaniem lub poobłąkliwością, uważali ją za naturalny obraz cywilizacji. My żyliśmy w epoce kultu Bismarka, mniej lub więcej poddał się jego działaniu, więc nie możemy, jak nie mogli dobrowolni i przymusowi czciciele Molocha lub świadkowie okrucieństw Nerona, wyjść ze swego czasu i ocenić jego wypadków. Ale gdy przyjdą następne pokolenia za lat 50 lub 100, gdy odczytają kazania sejmowe kanclerza niemieckiego, poznają sprężyny jego czynów i skutki jego wpływów, wtedy przerażą się rozmiarami zarazy moralnej, ogromem zaćmienia umysłowego, uwstecznieniem cywilizacji, zwyrodnieniem uczuć. Pojmą one, że w takiej atmosferze człowiek zwątpił o dostojności człowieka, pragnął go tylko wyzyskać, ujarzmić, zgnać lub zgładzić, że powieść, odbijająca stosunki ludzkie, musiała zająć się głównie malowaniem spodlenia i ohydy. Ideały pierzchy z życia, więc ich świetlane widma nie przesuwają się między bohaterami sztuki, której zrabowaną świątynię napelnił zwycięzki motłoch. Gwałtowny nurt reformacyjnych dążeń społecznych nie mógł również unosić z sobą umysłów w krainę ideału, gdyż jego głównym celem było podmycie i obalenie dotychczasowej budowy życia zbiorowego. Rzucił on z wściekłością o jej mury swe spienione fale, był burzą, wulkanem, siłą niszczącą, ale nie twórczą. Walcząc przeczeniem i krytyką, musiał przedewszystkiem odsłaniać zgnile podwaliny, kruche wiązania, okrywające zgniliznę, nędzę, zepsucie i bezprawia. Był on piorunującą filipiką, aktem oskarżenia, pozem lub kłatwą, więc wydobywał na wierzch głęboko ukryte błoto, występki i niecnoty. Ludzkość stanęła w sądzie dla wysłuchania i przeprowadzenia sprawy łupieżstwa, chciwości, oszustwa i krzywd wszelkich, poważnione strony zaczęły wzajemnie znieważać się i odsłaniać do naga swoje samolubstwo. I znów powieściopisarzom ukazał się tłum wrzaskliwy, o kawał mięsa lub nieogryzioną kość walczący, zniony do poziomu najgrubszych namietności, ożywiony jedynie żądzą płciową i głodem lub nienawiścią. Po nad tem sfalowaniem i spienieniem morzem życia przeleciał niekiedy śród ciemności jak meteor charakter wielki, promienisty, ale gasł szybko, nie zdoławszy jej rozświecić. Pozostawała trwale wzburzona masa, a nad nią drobne gwiazdki, słabo przeblaskujące z po za chmur czarnych.

Na tym gruncie rozkładu społecznego, wyjałowionym z pierwiastków idealnych,

w gospodarce siły brutalnej narodził się współczesny naturalizm i realizm rozmaitych odcieni. Pod hasłem: człowiek jest zwierzęciem — powieściopisarze zaczęli poszukiwać „dokumentów ludzkich“, udowadniających zwierzęcość tego gatunku. Zeszli więc do głębin życia, zrewidowali najskrytsze tajniki natury człowieka i wynieśli na wierzch całą ohydę, wszystkie zbrodnie, nieprawości, podrabiane altruizmy, zgnile uczucia, przewrotne zasady, obłudne pozory i z tego materiału złożyli olbrzymie piramidy podłości, jako pomniki chwały czasu. Nigdy świat zwierzęcy tyłu bezceństw nie wytworzył, nigdy ludzki tyłu w swem łonie się nie domyślał. Każdy wyraz tych „dokumentów“ obrzydliwie cuchnie, każdy wiersz jest strugą błota, każdy ustęp — kałużą. Kto zaś w wysięgu tych poszukiwań nie odnalazł „dokumentu“ wiarogodnego, przedstawił podrobiony, aby tylko zadowolić rzeszę, łaknącą wrażeń tego wielkiego kryminału. Ale wreszcie wrażenia te znudziły, gorszące widoki obmierzały. Ludzkość zapagnęła po nich odpoczynku, zateśniała do jaśniejszych, idealniejszych obrazów życia, do swej godności, którą w sobie czuje. Coraz wyraźniej pyta ona jak Bóg Lotha: czy między sodomczykami nie ma uczciwych ludzi, dla których należałoby ocalić miasto? Czy świat jest tylko zbiorowiskiem: morderców, złodziei, wiarołomców, rozpustników, maniaków i łotrów? Z pytania tego wyblaskuje na widnokręgu literatury brzask nowej doby. Jakie wejście słońce — nie wiadomo, ale to pewna, że nie będzie ono ponurą pochodnią dnia dzisiejszego. Tak, najmocniej w to wierzę, iż w rozwoju twórczości artystycznej zbliżamy się do zwrotu w kierunku bardziej idealnym, który nie potrzebuje być wcale okresem babiego lata minionej romantyki. Niezadługo będziemy pisali i czytali powieści wzniezione po nad sromotę życia, stwarzali bohaterów podniosłej miary, wypalali z brył ludzkich pierwiastki szlachetne. Ludzkość nie może długo żyć w zupełnem o sobie zwątpieniu, a jakąż nadzieję wlewa w nią rozmazujący brudy hańby człowieczej naturalizm? Po zamknięciu powieści Zoli można tylko splunąć, ale niepodobna o niczem zamarzyć.

Znaki switu są liczne, wskażę tylko jeden. Czemu fantazja Bellamego *W wieku XXI-ym* tak szybki i obszerny zyskała rozgłos? Czy przez nadzwyczajny talent autora? Bynajmniej, pochłonięto ją w setkach tysięcy egzemplarzy dlatego, że ukazała jasny obraz przyszłości, że przedstawiała ludzi oczyszczonych z błota, a ich stosunki w układzie idealnym. Jest ona przecie nie zbiorowiskiem „dokumentów ludzkich“, ale marzeniem, utopią, a mimo to pociągnęła ku sobie więcej umysłów, niż najznakomitszy utwór naturalistyczny. Ludzkość, błądząc po piekle rzeczywistości i zmyślonem, nad bramą którego wypisane jest ostrzeżenie rozbratu z wszelką nadzieją, biegnie za najśłabszym promieniem, który jej wskazuje drogę ku krainie światła. Promień taki właśnie padł z opowieści Bellamego.

Inne spoczywają w łonie niedalekiej przyszłości. Tymczasem karmimy się jeszcze różnemi przyprawami francuskiego naturalizmu, jeszcze przypatrujemy się powieściowemu preparatom nerwów znieczulonych, mózgów rozmiękłych, serc stwardniałych, ciał przegniłych. To jest nasza lektura po za twórczością swoją, która bądź trzyma się wzorów dawnych, bądź nowe naśladowa je lekliwie. Za wiele spożyliśmy „naturalizmu“, ażeby on i na nas nie oddziałał. Obyczaje narodu powstrzymały ogłaszanie „dokumentów ludzkich“, tradycja przystojności publicznej skępowała powieściopisarzów wstydem, rzetelnego też zolizmu nie mamy wcale; jego wszakże zasada utkwiała w naszych gustach i w naszym probierzu krytycznym. Przy sądzeniu utworów beletrystyki badamy zawsze ich stosunek do rzeczywistości, sprawdzamy, czy one są

„z życia wzięte,“ czy posiadają w swej mieszaninie dostateczny procent realizmu. Ale ulegając rozwojowi i odczuwając drgnienia ludzkości w jednym kierunku, odczuwamy je również w drugim. Inne narody, zapatrzone w przyszłość, zachwyciły się powieścią Bellamego; my, zapatrzeni w przeszłość, unosimy się nad powieściami Sienkiewicza. Obaj autorowie snują fantazje zupełnie oderwane od rzeczywistości, obaj idealizują ludzi i ich stosunki, tylko że pierwszy zalewa światłem to, co będzie, a drugi to, co było.

Nie chcę temi uwagami potępiać lub wyzławiać takiego lub innego rodzaju twórczości, sądzę bowiem, że wszystkie mają jednakie uprawnienie; ale nie wszystkie odpowiadają zarówno potrzebom czasu. Szlamowanie życia z mułu i wywożenie go na pole było koniecznym momentem rozwoju, ale nadeszła chwila, w której ludzkość łaknie czystej wody. Tęsknimy za epoką helenizmu, humanizmu, romantyzmu, za okresami, które już nie wróca, a wróciwszy nie zadowoliliby naszych pragnień, ale w których życie nie przedstawiało pola karczowanego, mierzwionego, oranego, lecz niwę bujnie obrosłą i kwitnącą, wonną i jasną. Niedawno jeden z naszych korespondentów, mówiąc o „wolnej scenie ludowej“ w Berlinie i o zamiarze wystawienia na niej naturalistycznych dramatów Hauptmana i Holza, słusznie zauważył: „Kto wie, czy lud, ciężko pracujący przez tydzień cały, w niedzielę z przyjemnością spoglądać będzie na to odzwierciedlenie nędzy i cierpień własnych, czy potrzeba rozweselenia się i wzniesienia nad poziom trosk codziennych nie odciągnie go od sceny dlań przeznaczonoj!“ Tak jest, o czem wkrótce się przekona „scena ludowa.“

Wybaczenie, zapomniałem zupełnie o wokandzie „spraw bieżących“ i wypełniłem całą tę rubrykę rozmyślaniami, wcale z nimi niezwiązanym. Darujcie to odstępstwo od zwyczaju skazanemu na ciężkie roboty, który ubezwładniony nie mogąc sam, jakby tego pragnął, uczestniczyć w pewnej pracy, marzy przynajmniej o tem, że ją inni podejmą.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kolej białostocko-lomżyńska. — Sprzecznosci. — Wykryte gniazdo podżegaczy emigracyjnych. — Daremne żale. — Prośba o powietrze. — Kuć żelazo póki gorące. — Nowy zarzut bazarowi kobiecemu w Lublinie. — Uwaga.

Krajowi naszemu przybędzie niebawem jeszcze jedna arteria komunikacyjna — w postaci kolei białostocko-lomżyńskiej. Droga ta przetnie okolice Tykocina w kierunku wschodnio-zachodnim. Wychodząc (przynajmniej według wytkniętego przez inżynierów kierunku) ze Starosielec, stacyi kolei brzesko-grajewskiej, w okolicach Białegostoku, przesunie się ona mimo miasteczka Choroszczy, gdzie jest wielka fabryka kortów. Następnie ponad Narwią przemknie ku wsi Kruszewo, gdzie tę rzekę przetnie koło wiosek kościelnych Kobylino, Rutki i Puchaly, podąży do wsi Starej Łomży, gdzie o 3 wiorsty od miasta Łomży zbudowana ma być stacya. W dalszym planie zamierzone jest przedłużenie tej linii aż do Mławy (stacyi kolei Nadwiślańskiej). Tymczasowa zaś część tej całkowitej linii, od Białegostoku do Łomży wyniesie około 10 do 11 mil. Zaciekawiony, jakie może mieć znaczenie ekonomiczne ta nowa para szyn dla miejscowości, gdzie głowa inżynierów ją nakreśliła, a ręce najmitów położy, spytałem o zdanie w tej mierze pewnego obywatela z pod Tykocina.

— Co okolica zyska na nowej kolei? — badałem go.

— Okolice na niej straci — odrzekł mi. To jest właściwie my rolnicy, wytwórcy zboża, stracimy. Dziś, wobec zamknięcia granicy przez cła pruskie, okoliczni ziemianie mają swój miejscowy rynek w młyńnie parowym w Stelmachowie pod Tykocinem. Z chwilą gdy kolej zbudują, zboże nasze ustąpić będzie musiało zbożu południowych gubernij Cesarstwa, wyprodukowanemu (dzięki przyrodzonej żyzności gruntu) z mniejszym nakładem kapitału, a zatem tańszemu. Straty nasze nie na tem się ograniczą. Zbudowana tuż pod bokiem naszych folwarków droga odciągnie od nich siłę roboczą. Czekaj więc nas nie tylko brak rąk najemnych, ale także niemiła perspektywa dorównywania podniesionemu przez współzawodniczkę poziomowi zarobków, dotąd w miarę niskich. Trwać zaś to będzie nie tylko w czasie samej budowy kolei, ale i potem, z powodu jej remontu, odgarniania z planty zasp śnieżnych itp.

Naturalnie wyrażając się w ten sposób, ziemianin miał na myśli interes własny i swojej grupy. Peniewał jednak spożywców i sprzedających swą pracę jest względnie więcej, niż wytwórców-przedsiębiorców, projektowana tedy kolej przyniesie z sobą korzyść pierwszych. I w tym więc razie, jak w wielu innych, naczelną zasadą dzisiejszego ustroju gospodarczego: „powodzenie moje jest klęską twoją, radość moja smutkiem twoim“ — występuje tu nago.

Znowu potrąć muszę o emigrację brazylijską, ponieważ trwa ona i rozszerza się wciąż, a nawet odslania czasem sprężyny podżegaczy. Sądząc z tego, co opowiada korespondent *Rolnika i hodowcy* z pow. konińskiego, to praktyki agentów wielce zbliżone są do tych, jakie ongi odbywały się w Oświęcimiu. Jeden z takich rybaków mętnych toni, imieniem Harich, odkryty został niedawno i ubezwładniony przez władze. Obrabiał sobie siedzibę w Kleczewie, gdzie uchodząc za „komisarza“ (?), oszachrowywał ciemny i bezwładny lud. Drzwi jego „kancelaryi“, jak powiada korespondent, szczególnie w święta — nie zamykały się od natłoku kandydatów do „zapisu“, bez którego nie mogli oni wyruszyć za morze. Pobierając po 50 kop. od głowy tytułem prośby, naciągał on ich jeszcze na 80 kop. na markę, ma się rozumieć, urojoną. Przynosiło mu to dziennie 5—10 rs. Takse za „prośbę“ w miarę napływu klientów zniżył z 5 rs. do 50 kop. Po kilku dniach zapisani przychodzą po „schifkarty“, które miały niby nadejść z Lizbony. Oczywiście każdy z nich dostaje plikę jaskrawych papierów, zadrukowanych wprawdzie europejskimi językami, ale w każdym razie dla nich niezrozumiałymi. Pomiędzy nimi jest karta różowa, na wszystkie boki firmę lizbońskiego agenta rekomendująca, która u ludu za „szyfkartę“ uchodzi. Po wsiach w Kaliskiem także rozwijają działalność agenci, tylko tam podejmują się tej roli ex-lokaje i ex-ekonomowie. Jeśli władze nie zatamują wczas tych nadużyć, za mamicielami zjawia się może wkrótce naganiacze, jak w Galicyi było. Przebieg procesu wadowickiego winien być dobrze zapamiętany.

Ala zdaje się, że środki zapobiegawcze będą przyspieszone, gdyż w powstrzymywaniu fali wychodzącej, jak zapewnia korespondent, są mocno zainteresowani posiadacze ziemscy i dwóch wybitniejszych przedstawicieli ich udało się już o pomoc do gubernatora kaliskiego. Wiele majątków zostało zupełnie bez siły roboczej, w dwóch dużych zostali tylko — właściciel i administratorzy! W takich warunkach najtwardszy mózg zwać może o prawdziwości wyznawanych dotąd poglądów. Ci jednak, których na takie próby narażają — są zepsuci moralnie. „Gdzie dotąd panowała patryarchalna cnota (łagodność i uległość), otumanieni zrywają ogniwa posłuszeństwa. Niejedni po ówierwieku i więcej przesłuszyli u jednego pana, doznawszy *niekiedy* ojcowskiej opieki, a jednak chęć łatwego zy-

sku, kłanianie się złotemu cielcowi, które powoli i w niższe warstwy się przedziera, przeważa dziś szalę wdzięczności (dla dobroczyńcy) i przywiązania do kraju (nędzy jego).“

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia...

powiada na to rzeczywistość.

— Lepiej nam tam (w „Branzylii“) jeść ryż, pomarańcze i *ruzynki*, niż tu kartofle — odpowiadają zuchwalcy i emigrują. Smutno tylko, że samopas i naoslep — z deszczu pod rynnę, w jarzmo plantatorów zamorskich.

Nie ulega wątpliwości, że pomimo całego swego wycieńczenia, puls *Gazety lubelskiej* uderza czasem żywiej. Jedna z pracowni pewnego zakładu krawieckiego zwróciła się do niej z zapytaniem, ile też na jej osobę przypada w pokoju, w którym pracuje przez cały dzień, z małą pauzą na obiad — stóp sześciennych powietrza, niezbędnego do oddychania? „Ponieważ jestem szczupła — skarży się biedaczka — i mam zapadnięte piersi, jak wiele z moich towarzyszek, może więc dlatego się krztuszę i pierśi zmuszone są do pospiesznego oddychania. Otóż projekt mój zasadza się na tem, aby ktoś był tyle pocziwy, ażeby zwiedził podobne naszej pracowni i warsztaty rzemieślnicze i wymierzwszy ilość powietrza przypadającego do oddychania na każdą pracownię czy pracownika, podał rezultat do wiadomości publicznej.“ Nie wiem, jak dalece stosunki i wpływy *Gazety* sięgają, a więc nie wyobrażam sobie, jaką ona da odpowiedź temu poważnemu zapytaniu robotnicy w imieniu koleżanek. Sama ona, bezpośrednio, zapewne nie tu nie wskóra, ale powinna skorzystać z tego charakteru, którego jeszcze wraz z większością organów prasy prowincjonalnej nie zupełnie się pozbyła, mianowicie — pisma, popierającego zarówno interesy wszystkich klas, nie zapominając o tem, powinna zrobić to, co prawdopodobnie leży w jej możliwości — poruszyć opinię publiczną na rzecz zaniebanych w opiece sanitarnej. Żelazo trzeba kuć, póki jest gorące. Należy wyzyskać chwilę, kiedy na porządku dziennym postawiono sprawę rozciągnięcia inspekcji fabrycznej i na zakłady rzemieślnicze. Nie poczujecie się kompetentną, jedna instytucya (państwowego dozoru nad przemysłem), to zwróci uwagę inna, która jeśli się nie myli, znajduje się w Lublinie — komitet sanitarny. Że sama najmitka wystąpiła w obronie swych słusznych praw, objaw to bardzo pocieszający, bo dowodzi rozbudzonej świadomości własnego i jej grupy położenia...

Jeszcze jeden wkładam obowiązek na barki *Gaz. lubelskiej*. W poprzedniej mojej kronice, potrącając o cyfry, mające dawać wyobrażenie o stopie zarobkowej pracowni, które korzystały z pośrednictwa bazaru robot kobiecych, wyraziłem wątpliwość i zapragnąłem, żeby *Gazeta* postarała się o pewniejsze dane. Dziś to samo powtórzę, ale z większym naciskiem. Upoważnia mnie do tego okoliczność, że w czynieniu zarzutu nie jestem osamotniony. Ktoś z publiczności na szpaltach *Gazety* zwraca uwagę na to, iż wyliczone 18 rs. przeciętnego zarobku najemnic bazaru — nie dadzą się usprawiedliwić, „że żadna z robotnic i to uzdolnionych i pracowitych, nawet czwartej części tego nie zarobiła. z wyjątkiem może kilku bliżej znanych paniom założycielkom, choć może mniej potrzebujących.“ „Bazar daje zarobek tak nędzny, że żadnej pomocy nim dostarczyć nie może, a to z powodu bardzo wysokich procentów, jakie pobiera, co zaraz udowodnię na przykładzie: przypuśćmy zapłacono robotnicy 50 kop., za materiały 30 kop., sprzedają zaś taką robotę za 1 rs. 50 kop. Albo owe roboty włóczkowe za które płacą od łuta, zarobić można na nich pracując dni 8, kop. 90. Robót zaś dawanych w komis jest tam prawie niemożliwie sprzedać, bo gdy robotnica postawi

na niej swoje cenę, to bazar poprawi ją na daleko wyższą i to w stosunku 1 rs. — 1 rs. 35 kop., a swoją drogą od ceny postawionej przez robotnicę znów procent pobiera. Dla tego też zraża się do niego publiczność, mając towary o bardzo wysokiej cenie, a zarazem nadużywa zaufania robotnicę, już do tej pory wiele z nich wycofuje się powoli, poznawszy bezowocność swej ciężkiej pracy. Zarzut to jest poważny i, jak autor zapewnia, oparty na danych, które zebrał od „większej części tamże pracujących robotnic.”

Nie wiem, co tam za kulisami się kryje, ale sądzę, że zachowanie się redakcyi wobec tego głosu — jeszcze go bardziej popiera. Tuż zaraz po nim, u dołu, zamieszczone jest wyjaśnienie kierowniczkii Bazaru, wprost przeciwnej treści. Powiedziano w niem, że skarga wyszła z ust leniwych i niezdolnych robotnic, że uzdolniona i pracowita „zawsze” zarobi 18 rs. miesięcznie, wyrabiając 10 łutów robót włóczkowych dziennie i otrzymując po 5 kop. od łuta, że protegowanych pracownic „stanowczo” bazar nie ma. Postaci rzeczy to nie zmienia. Protegowana jest ta, która, będąc skłonnniejszą do złudzeń, widzi swoje niepracodawczyń dobrodziejstwo w naprężaniu swoich sił aż do rezultatu 18 łutów wytworu. Służy ona zarazem za żywy obraz nagany i wzór dla mniej wysilających się. W każdym razie sprawę uważam za niedostatecznie wyjaśnioną i tu właśnie otwiera się pole dla *Gazety*. Niech ona przyjmując na swe szpalty głosy publiczności, wyjaśniające stosunek bazaru do robotnic, zaniecha płońskiej obawy szkodliwości ich dla młodej instytucji — krytyka wszechstronna nie zerze jej w proch; niech też przed wydrukowaniem, nie pozwala ich czytać stronie oskarżonej, która równocześnie umieszcza swój głos, z powołaniem się na przeciwną. To jest nieprzyzwoicie.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

W obronie spotwarzanego stanu.

W numerze 37 *Kraju* pomieszczono artykuł „Z obyczajów szkolnych w Galicyi.” Redakcyja objaśnia w przypisku, że czyni to poniekąd tylko na przekór cenzurze austriackiej, która wzbrońa poruszenia sprawy w dziennikach galicyjskich. I autor artykułu powiada: „Nikt bardziej od nas nie będzie się cieszył, jeżeli się owe wiadomości fałszywymi okażą.” Nie robi on wreszcie własnych uwag, powtarza tylko list, drukowany w łamach wiedeńskiego dziennika *Vaterland*, organu katolickich ortodoksów. Nie mniej, gdy redakcyja mówiąc w tymże numerze („Z tygodnia”) o powołaniu prof. Bobrzyńskiego na wice-prezydenta Rady szkolnej, objawia przekonanie, że on dopiero zaprowadzi ład w stosunkach szkolnych Galicyi; gdy w następnym niema żadnego sprostowania — słuszną może się zbudzić obawa, aby rzecz ta nie przywarła w pamięci tych, którzy o niej słyszeli, jako niezaprzeczalny pewnik historyczny.

„Wysoco szanowny,” jak zapewnia *Vaterland*, galicyjanin, zaznajamia czasopismo, a za jego pośrednictwem także jego czytelników, z trzema faktami, na których opiera niecny zarzut, uczyniony ogółowi galicyjskiego nauczycielstwa, że zbrodnie obydna nie tylko tolerować, ale i osłaniać pragnie, że ze zbrodniarzem się solidaryzuje. Całość ma stanowić piedestał, na którym stawia się pomnik z napisem: „Potrzeba powierzyć dozór nad szkołami duchowieństwu.”

Oto fakty w oświeceniu „wysoco szanownego” galicyjanina.

„W Wadowicach był to niedawna profesor gimnazjalny, który się dopuszczał na uczniach bezwstydnego przestępstwa.” Choć fakt był powszechnie najdokładniej znany, nikt przeciw temu nie wystąpił, póki suplent L. anonimowego doniesienia do Rady szkolnej nie zrobił. Rada

wysłała zapytanie do dyrekcji gimnazjalnej. „Dyrektor pytanie to przedłożył na posiedzeniu rady nauczycielskiej,” a „suplent oznajmił się natychmiast jako autor listu.” „W rzeczywistości jedynym skutkiem wszystkiego było przeniesienie suplenta z Wadowic w jakieś inne miejsce.” „Ulega on prześladowaniom może za to, że nie dość wysoko sobie cenil solidarność koleżeńską i posłał zawiadomienie, do którego go zobowiązywało sumienie i prawo,” bo „pewne koła zdają się potępiać nie zbrodnię, lecz jej wykrycie.”

— Dyrektor gimnazjum żeńskiego w Krakowie miał — jak chodzą pogłoski — szerzyć zepsucie między uczniami. „Przeniesiono go do seminarium męskiego do Rzeszowa, ale równocześnie powierzono mu wykłady w tamtejszej szkole żeńskiej. I dopiero jeden z profesorów gimnazjum rzeszowskiego, oburzony bezceństwami, jakie miał znaleźć w lekcji opisanej przez jedną z panienek za dyktandem wspomnianego dyrektora S., wymógł odjęcie mu wykładów w szkole żeńskiej.”

— W okolicy Kolbuszowy nauczyciel ludowy Michał Świstewa skorzystał z nieświadomości złego i dobrego dwu dziewczątek. Rodzice ich zwrócili się z prośbą o poradę, co wobec tego uczynić mają, do ks. Mamaka, wikarego. Wójt zawiadomił żandarmeryę, ale ta spóźniła się z przyaresztowaniem winnego o tyle, że miał on czas zażyć truciznę i zmarł w drodze do więzienia. Stosunek ks. Mamaka do tej sprawy, jak to zaznaczyć usiłowalem, niejasny. Dość, że ks. M. z tego powodu miał tyle przykrości wycierpieć od okolicznych nauczycieli, że musiał wreszcie poprosić o przeniesienie go z tamtych okolic.

Pierwszy fakt znam dokładnie.

Był w Wadowicach nauczyciel rysunków S., człowiek powszechnie lubiany i za prawego uważany. Jego to, ni stąd ni zowąd, poczęły oskarżać głosłowne doniesienia anonimowe przed prokuraturą państwową, która więcej z obowiązku, niż z przekonania zwróciła się z niemi do Rady szkolnej. Rada szkolna zapytała dyrektora, a gdy ten stanowczo faktu zaprzeczył, zaniechano dochodzenia. Dyrektor ów, p. K., człowiek wysokiego o sobie mniemania, w postępowaniu swem aż nadto samodzielny, wydając opinię o p. S., nie miał obowiązku i nie odwoływał się też wcale do grona nauczycielskiego. To też nietylko o historii anonimów, ale nawet o istnieniu ich nie wiedzieli profesorowie G. i Z., którzy tę samą sprawę podnieśli — jawnie zwracając się do dyrektora — na podstawie zarzutu, z jakim wobec nich wyrwał się jeden z uczniów w sposób p. S. obrażający. I tutaj śledztwo dyrektor samodzielnie prowadził, a gdy ono wykazało, że inni uczniowie, na których wspomniany uczeń się powoływał, zeznaniom jego wprost zaprzeczyli, gdy nadto sam oskarżyciel, przepraszając p. S., dał poniekąd uboczny dowód fałszywości swych zeznań — ucznia tego wydalono.

Wspomniałem naprzód, że sprawy anonimów zaniechano. Zaniechano jej rzeczywiście, o ile dotyczyła p. S.; dyrektor jednak opierając się na ich piśmie, wysłedził autora. Mimo że pismo to było zmienione; mimo że w listach owych używano wcale sprytnych wyrażeń, mających na celu skierować uwagę w inną stronę — podejrzenie padło przecież odrazu na potulnego i religijnego — ot ludzie skłonni zawsze do jakichś uprzedzeń — niechętnie mimo tych przymiotów widzianego suplenta L. Dyrektor w cztery oczy zagroził mu, że wydali go, nie pytając nawet Rady szkolnej, jeśli się nie przyzna. Odważnie też wtedy odkrył przyłbicę ten wychowanek oo. jezuitów, sekretarz ongi „Katolickiej czytelnicy” przez to zgromadzenie utrzymywanej. Przyznał się, a dyrektor dotrzymał słowa, bo odwołał się do Rady szkolnej, która też postanowiła nie przenosić go, lecz zupełnie usunąć z zajmowanej posady, pozwalając dotrwać na niej tylko do końca roku szkolnego. Decyzję motywowano brakiem uzdolnienia nauczycielskiego, a o doniesieniach oszczerczych wspomniano tam, jako o kropli przepełniającej puhar. I rzeczywiście mimo to, co później zaszło, długie lata napróżno, choć silny protekcją, szturmował p. L. o przywrócenie mu posady.

Gdy decyzja Rady szkolnej zapadła, p. L. szukając tu i owdzie ratunku, ze sprawą swą

szersze koła sam powiadomił. Któryś z prawników poradził mu, aby wniósł sam przeciw sobie skargę o oszczerstwo — wytoczono śledztwo sądowe. Wynikiem zaś owego procesu na tak uprawionej glebie przeprowadzonego było zasądzenie prof. S. na cztery lata więzienia.

Oto zatem jeden więcej „rzeczywisty skutek wszystkiego,” o którym „wysoco szanowny” galicyjanin widocznie zapominał. Były i inne, jak np. dymisyonowanie dyrektora, który obowiązki czuwania nad moralnością niedostatecznie czynił zadość — o tych także zamilczano.

Sprawa dyrektora S. raczej na pogłoskach, niż na istotnych danych oparta. Wieści rzeczywiście chodzą. Dyrektora seminarium nauczycielskiego na drodze dyscyplinarnej przeniesiono rzeczywiście w charakterze profesora do seminarium męskiego w Rzeszowie. Ależ tu sam autor owego listu powiada, że profesor gimnazjalny, a więc także nauczyciel ukrócił złe, które nie wiem, czy istniało.

Przejdźmy do kwestyi prześladowania ks. Mamaka. Artykuł pomieszczony w *Kraju* czytalem wspólnie z jednym moim znajomym.

— Znam go — odzywa się nagle mój towarzysz.

- Kogo?
- Ks. Mamaka!
- Cóż to za człowiek?
- Blondyn, słuszny...
- Dobrze, ale z wewnątrz?
- I....

Nie powtórzę wyrażenia, ale nikt na podstawie cytāt wspomnianego listu nie poważy się zaprzeczyć, jeśli powiem, że nie z powodu opisywanego tam wypadku, ale swymi przymiotami ks. Mamak zrazić musiał swe otoczenie, narazić się na przykrości, jakich miano mu nie szczędzić.

Oto na jak kruchych podstawach oparto tak ciężki zarzut. Z wzajemnego ich stosunku należałoby zważyć o zdrowej logice piszącego, gdyby przemilczania i przekręcania, jakich się dopuścił, nie narzucały gwałtem przekonania o jego złej woli.

Zbrodnia, jakiej dopuścili się ci trzej pedagodzy — przepraszam, dopuścili się dwaj, a trzeci miał się dopuścić — od czasów Sokratesa i dawniej, nietylko u nas sporadycznie się powtarza. Wyprowadzenie zaś na tej podstawie twierdzenia o „potrzebie powierzenia dozoru nad szkołami duchowieństwu” — pomijając sprawę wadowicką, która stanowi niezaprzeczony dowód, że księży katechei są odpowiedzialnymi za czuwanie nad moralnością, a więc muszą też mieć powierzone to czuwanie — już z tego punktu nie wytrzymuje krytyki, że nienaturalne warunki życia księży muszą z konieczności, częściej niż u świeckich, powodować zboczenia naturalnych popędów. Wresztą, przecież takie same *pogłoski*, jak o wspomnianym przez „wiele szanownego” galicyjanina dyrektora seminarium żeńskiego, po tymże Krakowie obiegały o byłym katechecie gimnazjum żeńskiego i o zmarłym katechecie gimnazjum św. Anny. O ile zaś wiem, nikt ze zwolenników świeckiego wychowania nie wystąpił na tej, równie silnie ugruntowanej zasadzie z żądaniem usunięcia wszystkich katechetów.

Uhma.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dyrekcya główna Tow. kredytowego tworzy cztery nowe posady wyższe.

— Zarząd stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania moźeszowego rozszerza dział filantropijny. W tym celu utworzono oddzielną komisyę, w której zakres wchodzi: nie tylko uwzględnienie podań niezamożnych członków i wdów, pod opieką stowarzyszenia pozostających, lecz nadto wyszukiwanie osób tej samej kategorii, które się ukrywają ze swem ubóstwem.

— Towarzystwo warszawskich tramwajów postanowiło zniżyć ceny biletów dla uczniów i studentów zakładów rządowych. Korzystający z ustępstwa powinni być w mundurach.

— Dla ruskich bibliotek publicznych w Kijowie, Kamieńcu podolskim, Żytomierzu, Grodnie, Dórpaciu i Płocku wyznaczono zapomogi w sumie przeszło 1,000 rs.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy kobiet-lekarzy.

— Kilka gromad miejskich stara się o przemianowanie wszystkich mieszczan na osadników lub obywateli. Prośbę swoją uzasadniają tem, że nazwa *mieszczenie* brzmi jakoś z cudzoziemską, nie po rusku i zbliża się do języka polskiego, pochodząc od wyrazu *miasto* (*St. Pet. Wied.*).

— Ruch za przywróceniem jezuitów w Niemczech szerzy się coraz bardziej. Ogarnął szczególnie okolice katolickie: Westfalię i Prowincję Nadreńskie.

— W Saratowie powstaje klub kobiecy.

— Przy rewizji oddziału dla obłąkanych w Mińsku gub. odkryto wielkie nadużycia: głodzenie chorych, przykuwanie na łańcuchach itd.

— Wydano rozporządzenie, aby wszystkie akta i korespondencje z władzami w gub. nadbałtyckich prowadzone były w języku ruskim.

Szkoły. W Mińsku gub. przy Tow. dobroczynności powstaje szkoła rzemieślnicza z kursem: stolarstwa, ślusarstwa i kowalstwa. Celem jest kształcenie rzemieślników wiejskich.

— W Berlinie i Konstantynopolu przy poselstwach założono szkoły ruskie.

— Przy uniwersytecie w Tomsku otwarta będzie katedra agronomii.

— W Warszawie na Lesznie otwarto nowy zakład fröeblovski.

— Wydział filozoficzny w uniwersytecie Heidelberskim podzielono na dwa odrębne: filozoficzno-historyczny i przyrodniczy.

— Nauczyciele ludowi w Galicyi uchwalili wnieść petycję do sejmu o podwyżkę pieniężną na mieszkanie i zwiększenie płacy starszym nauczycielom.

— Według nowej ustawy dla szkół realnych, w klasie trzeciej wykładana jest historia naturalna i historia Rosyi; przedmiotów tych nie uczyli się wcale uczniowie pozostali w klasie 4-jej na drugi rok. Wskutek zażądań niektórych kuratorów ministerium oświaty wyjaśniło, że na naukę historii naturalnej dla uczniów

drugorocznych w kl. 4 należy wyznaczyć oddzielną lekcję dodatkową; elementarny zaś kurs historii Rosyi uczniowie ci powinni uzupełnić w klasie VI-jej.

— W Warszawskim Tow. dobr. zawakowały: z zapisu d-ra Katarzyńskiego stypendium rs. 150 dla studenta wydziału medycznego i zasiłek z zapisu Rapackiej 120 rs. dla rodziny kształcącej dzieci. Prośby przyjmowane będą do 6-go grudnia.

— Siostry Marya i Jadwiga Keller otworzyły w Warszawie nowy zakład wychowawczo-gimnastyczny.

Sprawy kolejowe. Urzędnicy na kolejach Południowo-Zachodnich znowu się uskarżają na niesprawiedliwy podział gratyfikacji.

— Zatwierdzono już plan kolei z Bercyzowa do Żytomierza, której budowa będzie przyspieszona.

— Do tutejszych zarządów kolejowych zwróciło się centralne biuro statystyczne dróg niemieckich z prośbą o nadesłanie wiadomości, dotyczących uposażenia urzędników i oficjalistów.

— Na kolejach, gdzie odbywają się większe transporty bydła, ustanowiono dla weterynarzy specjalne wynagrodzenia pieniężne od każdej sztuki chorej lub podejranej, wykrytej przy rewizji.

— Zarząd kolei Warszawsko-Petersburskiej na kupno nowych parowozów do pociągów pośpiesznych przeznaczył 880,000 rs.

— W sprawie nowego połączenia kolejowego Galicyi z Węgrami toczą się obecnie układy między rządami austriackim i węgierskim. Chodzi o budowę linii z Marmoros — Szegetu do Stanisławowa lub Kolomyi. Dla wschodniej części Galicyi kolej ta będzie miała ważne znaczenie ekonomiczne, jako najkrótsze połączenie tych okolic z Wiedniem i Pesztem.

— W dniu 25 października odbyło się posiedzenie akcyonariuszów kolei Terespolskiej, wywołane zamianami rządu przeprowadzenia konwersyi obligacji 5% tej kolei i zmniejszenia odpowiednio do tego niektórych artykułów ustawy. Zebranie ogólne wyraziło zgodę w zasadzie na konwersję, przy zastrzeżeniu, aby zmiany nie

naruszyły praw akcyonariuszów, nadanych im ustawą pierwotną.

— W Paryżu zamknięto w tych dniach konferencję kolejową francusko-belgijsko-ruską. Taryfę opracowaną przez urzędników w Berlinie zatwierdzono. Poinstalowano wprowadzić bilety okolkne między Paryżem, Bruksellą, a stacyami ruskimi, dające podróżnym możliwość wyjeżdżania z Rosyi przez inną stację graniczną, a powracania przez inną.

Bibliografia. *Kalendarz* księgarsko-literacki, na r. 1891 wydany przez S. Czarnowskiego i G. Centnerszwera, str. 118, Warszawa.

— Aleksander Fajans, *Monomethylorthodioxycarbon-carbonsäuren und deren Derivate*, str. 45. Jest to rozprawa doktorska autora, przedstawiona na uniwersytecie w Jenie.

Zmarli. Emilia Puffkova w Poznaniu. Pisała prze-ważnie dla młodzieży.

— Aleksander Orsinł, pisarz muzyczny w Rzymie.

— Thorold Rogers, prof. ekonomii politycznej, b. poseł do parlamentu w Londynie.

— Malling Hausen, dyrektor Instytutu głuchoniemych w Kopenhadze. Znany ze swych prac nad obniżeniem wzrostu dzieci.

— Dr. v. Marx, prof. chemii na technice sztudgar-dzkiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani K. Studium Graweina nie wyszło w osobnej odbitce, lecz drukowane było w *Neue Fr. Presse* p. t. „Der Mensch als Phonograph.“

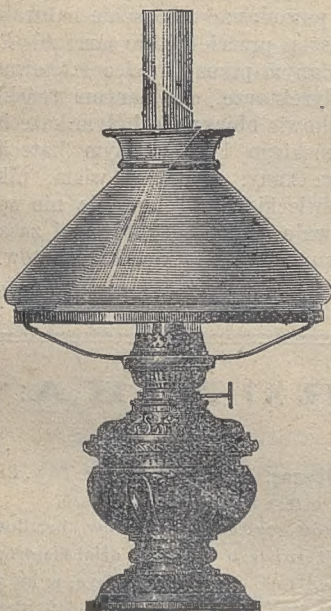
Pani Tekli D. Niepodobna, ażeby redaktor czytał wszystkie książki i o wszystkich pisał recenzje. Musi on tę pracę powierzać innym, a ich sądom otwierać w swem piśmie kredyt naukowy, moralny i estetyczny. Jeżeli przeto zdanie W. o powieści Sz. wydaje się Pani niesłusznem i jeżeli Pani ma poważne zarzuty, prosimy o replikę, na którą krytyk odpowie.

O G E O S Z E N I A.

P. A. KRZYMSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący
w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasieńskiego
Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.

Skład Główny Warszawskiej Fabryki Lamp



R. DITMAR

Warszawa, Trębacka 4,

poleca na nadchodzący sezon

LAMPY

najróżnorodniejszych i najnow-
szych fasonów od zupełnie skro-
mnych aż do najwykwintniej-
szych, oraz

*Wyroby Metalowe
i Majolikowe*

artystycznie wykonane, w wiel-
kim wyborze.

Warszawa, Trębacka Nr. 4, dom
Tow. Akc. K. Scheibler.

CZYTELNIA dla KOBIET 9, Warecka 9,

Stale zaopatrywana w najnowsze dzieła naukowe, oraz wy-
borowe beletrystyczne w pięciu językach.

Pokój osobny dla czytania pism peryodycznych **wyłącznie dla kobiet**. Pisma krajowe i zagraniczne, naukowe i literackie.

Abonament miesięczny we wszystkich językach, z prawem korzystania z pism: **dwóch ksiąg** k. 40, **trzech** kop. 50, **czterech** kop. 60, **pięciu** kop. 70. Katalogi wkrótce drukowane będą.

W Sobotę i Niedzielę
d. 1 i 2 Listopada r. b.

Nadzwyczajna Wystawa
krajowych i zagranicznych

FIRANEK

w
Pierwszym Specyjalnym
Magazynie
Wierzbowa Nr. 1.

Nowelle A. L. Kiellanda

Paryż, 1890. Cena kop. 15.

Skład główny w księgarni G.
Centnerszwera.

Nadesłano z Paryża do G. Centnerszwera (Marszałkowska) na skład główny

DRUGI TOM

Pism pomniejszych

Karola Marxa

zawierający: „Osiemnasty Brumaire’a

Bonapartego.“

Cena we wszyst. księgarniach kop. 50.

Polecamy jednocześnie inne książki

tegoż zagranicznego wydawnictwa:

K. Marxa. I-y tom Pism pomy. rs. 1.

F. Engelsa. Początki cywilizacyi rs. 1.

L. Winiarskiego. Społeczne stosunki

Angli, kop. 50.

E. Haacka. Królestwo pierwotnia-

ków, wspaniałe lipskie wydanie Brok-

hausa na welinie z licznymi ilustracya-

mi, cena tylko rs. 1.

Sprzedaż

Chustek wełnianych, Piłtna,
Barchanów kolorowych, Perkal,
Haftów.

Br. Jabłkowscy, Hoża Nr. 14.

BIURO BANKOWE

Gazety Losowań

w Warszawie, Krakowskie-Przedm. Nr. 51, I-e piętro.

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów. Przekazy na wszystkie miejscowości w kraju, Cesarstwie i zagranicą. Zaliczenia na papiery publiczne z terminem stałym i bez terminu. Rachunki przekazowe i lokacje terminowe. Inkasa weksli w kraju i zagranicą. **Bezpłatne informacje ustne i piśmienne we wszystkich sprawach pieniężnych.**